Grodzieńskiej, może dla tego, że posiada łożysko w lepszych ziemiach. Spotykamy też częściej rybaków i pod wioskami całe stosy tak zw. *wiersz* »Wiersza« podlaska nad górną Narwią i »*warsza*«, lub także »*wiersza*« litewska, jest to z łozowych prętów rodzaj kosza walcowatego stożkowato *zawierszonego*, mającego w podstawie lejkowaty, do środka wydłużony otwór, przez który wchodzą do wnętrza zwabione przynętą ryby i raki, podobnie jak do siatkowego więcierza. Niewodów *(niawadas)* i więcierzy *(wencieris, winteris)* nie widzimy tu jeszcze. Podobne są tylko do podlaskich kłomli, litewskie *czerpaky*, czyli worki siatkowe na drążku i kabłęku osadzone.

Przy wsi Najdziunach pod brzegiem wychyla się z Niemna wielki głaz zwany, przez oryli od czerwonej barwy, *Czerwienikiem.* W tej okolicy zaczyna się na lewym brzegu puszcza Preńska, niegdyś rozległa i w cenne drzewo bogata. Wypływające z niej strumienie obfitują w pstrągi. Dalej, koło wsi Naraw napotkaliśmy znowu w pięknej miejscowości zdroje mineralne nad Niemnem. Minąwszy rapę zwaną *Cielicami,* zatrzymaliśmy się na odpoczynek i posiłek u krynicy, której zimna, kryształowa woda, małemi wodospadami wśród cienistej puszczy, staczała się w łono wijącego się malowniczo u stóp naszych ojca rzek litewskich. Przy świetle słonecznem, widać było wybornie z góry, na tle złocistego i usłanego żwirem dna rzeki całe stada zwinnych, ostrożnych i bojaźliwych, ale ciekawych rybek, które pierzchały przed rzuconymi do wody kęsami chleba, ale niebawem powróciwszy ostrożnie porywały okruchy i umykały w głębinę. Scena ta została przerwana intnym widokiem z życia rybiego, bardzo smutnym. Niemen unosił na swej powierzchni ryby większe wśród ich śmiertelnych miotań, skutkiem zatrucia przez rybaków. Za nimi podążał na małem czółenku człowiek, ze wzrokiem podobnym do wilka i chciwie zagarniał siatką nieszczęśliwe ofiary swej trucizny.

Nad wieczorem przybyliśmy do Pren, miasteczka większego od wszystkich, między Grodnem i Kownem, położonego w pięknej dolinie, wśród żyznej i malowniczej okolicy. Władysław IV nadał starostwo preńskie, Butlerowi, dworzaninowi brata swego, królewicza Jana Kazimierza, który to Butler, podczas podróży z królewiczem do Hiszpanii, zatrzymany został razem przez podejrzliwy rząd francuski, i uwięziony niegodziwie w zamku Cisteron. Butler po powrocie do Polski, na pamiątkę wspólnej z Janem Kazimierzem niedoli, wystawił w Prenach na podobieństwo zamku Cisteron, gmach obszerny, czołem do Niemna, i otoczył go wielkim sadem owocowym. Od zamku (z którego już tylko gruzy piwnic pozostały) prowadził po drugiej stronie szeroki gościniec do Trok i Wilna. Pod Prenami wpada do Niemna rzeczka Drobinga, obfitująca w pstrągi. Teodor Narbutt powiada, iż w tej okolicy widział uroczysko, zwane *Krono — Kilpinie,* co ma znaczyć łuk Kronu, i uważa to za dowód, że kiedyś Niemen był nazywany przez Litwinów Kronusem. Miałoby to związek z *Chronosem*, nazwą Niemna u dawnych Rzymian, jeżeli istotnie Kronus był nazwą litewską?

Parność, chmura daleka i grzmoty, zapowiadały burzę, ale nie było czasu na wyczekiwanie jej w Prenach. Gdyśmy minęli miasteczko, błyskawice i gromy powtarzały się coraz częściej i bliżej, potem chłodny wiatr zaczął igrać z falami. Postanowiliśmy tedy żeglować na trzy wiosła, aby zdążyć do odległych o ćwierć

mili Bogran, gdzie znajdowała się karczma w pobliżu rzeki. Niemen coraz bardziej był wzburzony od wiatru, z płowego zmienił się w modry, a fale nie pozwalały nam płynąć środkiem. Wiktor radził zawczasu wylądować, bo dalej mówił, przy stromym brzegu i silnej fali, będzie coraz trudniej. Pragnęliśmy jednak podpłynąć bliżej gospody. Ale od forsownego wiosłowania i walki z wiatrem, upadaliśmy już na siłach, gdy jeszcze na tysiąc kroków przed upatrzonem schroniskiem, doścignęła nas gwałtowna nawałnica. Był to prawdziwy potop, wśród którego straciliśmy z oczu cel naszych marzeń t. j. karczmę w Bogranach. Nareszcie przemokli do nitki, wylądowaliśmy przy stromej ścieżce, która miała zaprowadzić nas pod strzechę. Niestety ścieżka była gliniasta, żłobiasta i przemieniona w mały górski potoczek, tak że wydobycie się z tłómaczkami na wyżynę było zadaniem owego rycerza z bajki, który aby posiąść zaklętą królewnę, musiał wjechać na szklanną górę, gdzie stał jej zamek.

Dla nas zamkiem tym było dzisiaj stare karczmisko, a królewną stara arendarzowa, która wydała się istotnie jakby zaklętą, gdyż od strony Niemna nie znaleźliśmy drzwi do karczmy tylko wysoki płot ogrodu, który należało daleko obchodzić. A że w taką ulewę nie było czasu szukać drogi, schroniliśmy się zatem z naszemi waliskami pod spory okap jakiejś szopy karczemnej, nie przewidując jaka nas spotkać tu może przygoda. Oto, gdy ulewa zdawała się słabnąć, wówczas dokoła nas przybierała woda, płynąca z górzystych pól okolicznych. Gdy spostrzegliśmy, że stoimy na wyspie, cały ogród był już zalany i chcąc się dostać do mieszkań ludzkich należałoby po kolana brodzić przez wodę. Obrawszy pod ścianą miejsce najwyższe, czekaliśmy zlitowania bożego. Powódź wzbierała jeszcze i gdy, dosięgnąwszy stóp naszych, już, już, miała podebrać nasze walizki, które postanowiliśmy ratować, dźwigając w ręku, woda, jakby ulitowawszy się nad nami, zaczęła powoli opadać. Burza ta jednak przeszkodziła nam do zwiedzenia za Bogranami starożytnego grodziska, które przedstawiało się z daleka jako ogromny kopiec, podobny do Pilupu w Rumbowiczach, lub zamkowej góry, pod Gostyninem na Mazowszu.

Niemen płynął teraz znowu spokojnie, tylko był mętny jak kawa, mleczną i żółtawą pianą pokryty. W Rudupiach odrysowałem typowy, staroświecki świron drewniany, o piąterku i dwóch gankach, osadzony dokoła wierzbami. Na nocleg podążyliśmy do Birsztan, przebywszy już w ciągu długich, czerwcowych dni sześciu około 30 mil, krętej, wodnej drogi od Grodna.

Dziwnie odrębną postać od wszystkich innych na świecie, posiadają litewskie uzdrowiska. Pod Birsztanami np. cały rozległy, płaski brzeg Niemna pokryty był płótnem domowem, rozesłanem do bielenia na świerkowych gałązkach, aby się w piasku nie zwalało, przez niewiasty rolniczych mieszczan. Prawie całe miasteczko miało chaty tak zwane *kurne* i dachy słomiane. Przy promie (urządzonym tu jak w Prenach bez liny, a piątym i ostatnim jaki spotkaliśmy między Grodnem i Kownem) zapytaliśmy jakiegoś rosłego i wąsatego mieszczanina o gospodę? Zaprosił nas uprzejmie do siebie i poprowadził przez kilka wysokich płotów, które przełaziliśmy w ślad za nim, aż nareszcie stanęliśmy w głównej ulicy miasteczka, niebrukowanej, i po deszczu podobnej do kanału weneckiego. Gospodarz wprowa-

dził nas do domu drewnianego, niebielonego i pod strzechą, ale porządnego. Dom ten dzielił się na dwie połowy różne od siebie, jak dzień z nocą. Dniem było mieszkanie schludne, z dwóch pokoi złożone, wybielone, ze świeżo umytą, niemalowaną podłogą, oczekujące przybycia gości kąpielowych. Okna były tu duże, meble jesionowe, zwierciadło nad kanapą, łóżka wygodne. Do nocy była podobną lewa strona domu, złożona z wielkiej, *kurnej* izby, z małemi okienkami i ciemnej za nią komory. Na środku tej izby gorzało na trzanie kamiennym ognisko napełniające izbę dymem, który przez otwór w powale dostawał się pod strzechę a stamtąd wychodził na dwór dziurą w szczycie pod stropem.

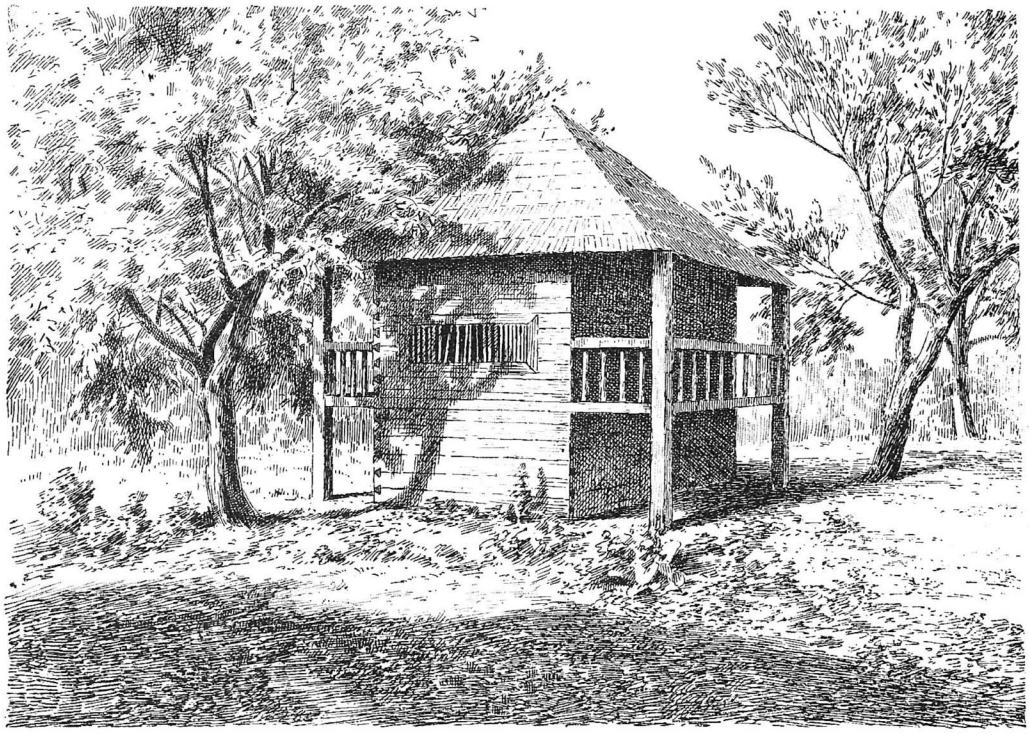

Stary Swiron w Rudupiach.

Na moje chrześcijańskie pozdrowienie w progu domowym, gospodarz nie odpowiedział »Na wieki wieków«, tylko się skłonił. Przy drzwiach nie było wody święconej, ani na ścianach krzyża lub N. M. P. Ostrobramskiej. Zagadka wyjaśniła się dopiero, gdy kipiący samowar wniosła przysadzista gosposia o kruczych włosach i małych, jak pieprzyki czarnych, tatarskich oczkach. Z typowej, polskiej twarzy ojca rodziny nie odgadłem, że byliśmy w domu litewskich Tatarów, uprzejmych, gościnnych i poczciwych, jak byli oni wszyscy. Przy herbacie dowiedzieliśmy się od gospodarza, że nazywa się Stefan Aleksandrowicz, że jest szlachcicem powiatu Trockiego, z wyznania «muzułmaninem», że ma dom własny w Bir-

sztanach i grunt czynszowy od skarbu, a przytem dobrą strzelbę jako myśliwiec. Dalej opowiadał o liczbie gości kąpielowych, bawiących, lub spodziewanych, głównie z Kowna, Wilna i sąsiednich powiatów, o ordynujących tu lekarzach kowieńskich, traktjerniku i kapeli, to znowu o czynszach i przedsiębiorcach zakładu leczniczego, panach: Bilińskim i Bartoszewiczu. Teraz właśnie krążyły pogłoski, że hr. Józef Tyszkiewicz z Lantwarowa zamierza nabyć od skarbu Birsztany i postawić zakład leczniczy na wysokiej stopie, co dawało mieszkańcom nadzieję lepszej przyszłości. Opowiadał nam jeszcze sympatyczny Tatar o *kiermaszach* okolicznych i sławnym złodzieju w Butrymańcach, który znany całemu Trockiemu powiatowi, stał na czele uorganizowanej bandy koniokradów, i od lat kilkunastu pobierał stały haracz od tych ludzi i wiosek którym dawał zobowiązanie niekradzenia ich koni i bydła. Aż oto niedawno sam zgładzony został tajemniczą ręką prywatnej sprawiedliwości.

Korzystając z wypogodzonego wieczoru, wyszedłem z Gustawem przejść się po miasteczku. Składało się ono z wiejskiej ulicy i placu zarosłego bujnym chwastem. Wszystkie domy rolniczych mieszczan zbudowane były na sposób wyżej opisany t. j. w połowie *kurne*, a w połowie dla gości urządzone. Dwie te połowy przedziela obszerna sień, jak u Rybińskiego w Strażyszkach, zwykle bez powały. Rodzina gospodarza przez cały rok mieszka w izbie kurnej, oświetlonej przez dwa lub trzy czteroszybkowe małe okienka, napełnionej w górze dymem, pod którym kręcą się schyleni zwykle ludzie. Pomimo braku dymnika, pożary od iskier nie bywają częste, bo niema tu przeciągu kominowego. Nawet zamożny mieszczanin uparcie mieszka w dymnej izbie, gdzie, jak powiada Aleksandrowicz, dostatek trzymał się ojców jego, a dym nie dopuszczał zarazy i morowego powietrza. Tradycya takich mieszkań jest odwieczna, a i starożytni grecy musieli mieć podobne, skoro Homer powiada o izbie w zamku Odysseusza, że »oręże rdzewiały w dymie«. Znalazłem jednak w Birsztanach, oprócz kurnych chat mieszczańskich, kilkanaście dworków dla gości z przestronnymi gankami i malowanymi dachy, na wzór druskienickich, t. j. w stylu typowym, staropolskim.

Słono-gorzkie zdroje tutejsze nazywane przez lud *druskupie* (solna rzeczka) bijące na płaszczyźnie, o paręset kroków od Niemna, są podobno silniejsze i obfitsze od druskienickich. W założonym przy tych źródłach ogródku spacerowym, jakiś nieznajomy poczciwy jegomość, zawiązawszy z nami znajomość, nie chciał w żaden sposób uwierzyć, że podróżuję w celach krajoznawczych, naukowych i, że nigdy nie grałem w karty. W wyobrażeniach jego każdy badacz musi być chudym i zawiędłym, w okularach, a każdy starożytnik musi być starym i woniejącym stęchlizną. Ze zaś ja żadnego z tych przymiotów na szczęście jeszcze nie posiadałem, więc nie przypuszczał, aby młody człowiek i kawaler, przybywszy do wód, gdzie bawiło tyle »pięknych panienek« na wydaniu i jeszcze więcej miało zjechać, poszukiwał »człowieka przedhistorycznego«! Nieznajomy wujaszek zaraz chciał mnie zapoznać z pewną mamą, która trzema uroczemi córkami od razu uszczęśliwić mogła trzech zięciów. W pół godziny później, byliśmy już przedmiotem gorączkowej ciekawości całego towarzystwa birsztańskiego, ciekawości niestety tem smutniejszej, że niezaspokojonej.

Nad Birsztanami, położonemi w dolinie Niemna, panują piękne wzgórza i stoki pokryte zaroślami berberysu, leszczyny, olszyny, świerczyny i bluszczów, dające pierwszeństwo w malowniczości położenia Birsztan nad Druskienikami. Krzewy i rośliny posiadają tu niektóre odmiany rzadkie nad Wisłą, a natura ma wiele wdzięku pierwotnego, i na dobrej glebie wiele bujnej, dziewiczej świeżości. Najpiękniejsza z tych miejscowości jest góra zamkowa, stroma, podłużna, zwana *Pillis* (zamek) okrążona cienistym wąwozem, z której odsłania się ładny widok na Birsztany, z ich drewnianym, wiejskim kościołem, na płowy Niemen i bór sosnowy

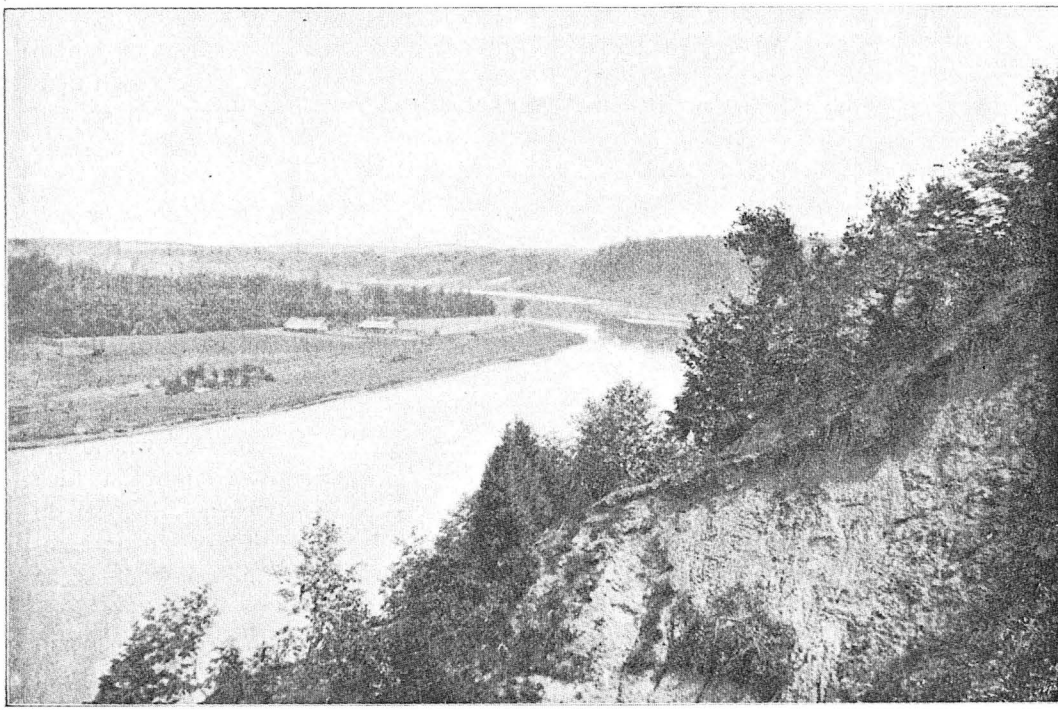

Widok z góry zamkowej w Birsztanach.

za Niemnem. Na tej górze stał niegdyś zamek, z którego nie zostały żadne ślady, oprócz znajdowanych palisad dębowych w bokach góry. Starzy ludzie prawią tu o lochu podobnym, o jakim Syrokomli opowiadano w Puniach. Od zakładu kąpielowego wązka ścieżka prowadzi na tę górę zamkową, niestety znowu przez cudze ogrody i płoty. Pytałem się o przyczynę tylu tak wysokich płotów w Birsztanach. Odpowiedziano mi, że mieszkańcy zamiłowani są w hodowli trzody chlewnej, ale podług metody przedhistorycznej mają zwyczaj puszczania jej często samopas, żeby żywiła się sama u sąsiadów tem, co zdobędzie. Każdy więc obwarowuje swój ogród wysokim płotem od chlewni swoich kumów i przyjaciół. Na dowód jednak postępu, pokazano mi na drodze do góry zamkowej małe okienko z prze-

łazem w parkanie, przez które goście przechodzą, ale świnki nie potrafią. Ponieważ przechadzało się kilka dam w tym kierunku, byłem więc mocno zaciekawiony, czy panie przebywają to wysokie okienko najprzód głową, czy nóżkami? Ciekawość jednak moja nie została należycie zaspokojoną, bo jakaś korpulentna mama trzech wiotkich córeczek miała duży parasol i tak potrafiła sobą i deszczochronem zasłonić chwilę krytyczną, że niepostrzeżenie ponienki wybiegły już na górę zamkową, gdy mama, lękając się widocznie aby nie uwięzła, pozostała sama przed parkanem, oczekując ich powrotu.

Dworzec myśliwski władców Litwy stał podobno w miejscu zwanem teraz przez lud: *Dwaras uszkaltur*, co znaczy: dwór zaczarowany. Tu przebywał czasami Witold, także Kazimierz Jagiellończyk z królową Elżbietą i synami Janem Olbrachtem i świętym Kazimierzem (przez zimę r. 1475). W naszych czasach upamiętnił Birsztany swoim pobytem Syrokomla, który część lata w r. 1859 spędził w Druskienikach, a r. 1860 w Birsztanach i niejedną chwilę natchnienia w szatę serdecznego słowa tu przyodział.

Po wygodnym noclegu u gościnnych Tatarów litewskich, mieliśmy poranek mglisty i chłodny, podczas którego odrysowałem widok góry zamkowej w Birsztanach z lewego brzegu Niemna. Oryle chcąc dać miarę krętości koryta niemnowego, powiadają, iż po całodziennej żegludze można przybyć, zapalić lulkę u ogniska roznieconego rano, czyli po całodziennem krążeniu rzeką, powrócić do tej samej miejscowości. Podobne opowiadanie musiał już słyszeć Długosz w wieku XV, bo opisując rzeki polskie mówi o Niemnie, jak nasz Wiktor, że nieraz płynący flis, powraca wieczorem do ogniska, które rano był opuścił. Oczywiście nie cały Niemen płynie tak kręto, a właściwie opowieść Długoszowa i gawęda flisa grodzieńskiego, opowiedziana w półpięta wieku później, zbliżone są najwięcej do prawdy w okolicy Puń i Birsztan. Ze Strażyszek bowiem, gdzieśmy wczoraj nocowali, do Birsztan lądem jest mało co więcej nad ćwierć mili, a wodą sześć mil z okładem.

Od Birsztan do ujścia Werszni, ciągnie się na stokach prawego brzegu pasmo pięknych łączek i gajów, a bogaty zielonością jar Warszni tworzy przy jej ujściu malowniczy krajobraz. Połujański wspomina o śladach mostu na Niemnie zbudowanego w tej okolicy przez Szwedów. Ja, na takowe już nie natrafiłem. Za to wynalazłem starożytne przedmioty krzemienne i szczątki współczesnych im glinianych naczyń na dość wyniosłej krawędzi lewego brzegu, o tysiąc kroków poniżej wsi Pacun, w pobliżu drogi, którą, podczas moich poszukiwań, spieszył gromadkami lud okoliczny do Pren na fest (odpust) św. Antoniego Padewskiego, było to bowiem 13 czerwca. Świąteczny ubiór wieśniaczek składał się z ciemno granatowej spódnicy i gorsetu (krojem zupełnie krakowskim) z białego płóciennego rańtucha na ramionach i białej cienkiej chustki zwiniętej rodzajem zawoju na głowie, jak nosiły dawniej mężatki chustki różnobarwne na Podlasiu. Mężczyźni mieli siermięgi z jasno-siwego samodziału, krojem także do świt krakowskich zbliżone, fałdowane na biodrach, bez rozporów, czarnym sznurkiem oszyte. Koszule mieli wyłożone na majtki, jak wszędzie nad Niemnem, tylko nieco dłuższe niż w gub. Grodzieńskiej, przepasane wełnianym, wzorzystym, wązkim paskiem litew-

skim. Wielu miało zawieszone na szyi różańce, a na głowach kapelusze bronzowej barwy, kształtu dawniejszych mazowieckich z pod Warszawy i Ostrołęki.

W pobliżu wodnego młyna i dworku z pięknym sadem (Wiktor nazwał ten folwark Rybickim, od właściciela) spotkaliśmy wiejską dziewczynę, która wybierała z ziemnych gniazd grzebułek ich pisklęta i jaja, składając swoją zdobycz do dzbana. Krzyk rozpaczliwy biednych ptaszyn unoszących się stadem nad jej głową, nie wzruszał twardego serca tępicielki. Zgromiliśmy dziewczynę, więc wstrzymała się od rabunku, ale tylko do czasu naszego oddalenia. Za wsią Kowalkami, jest na

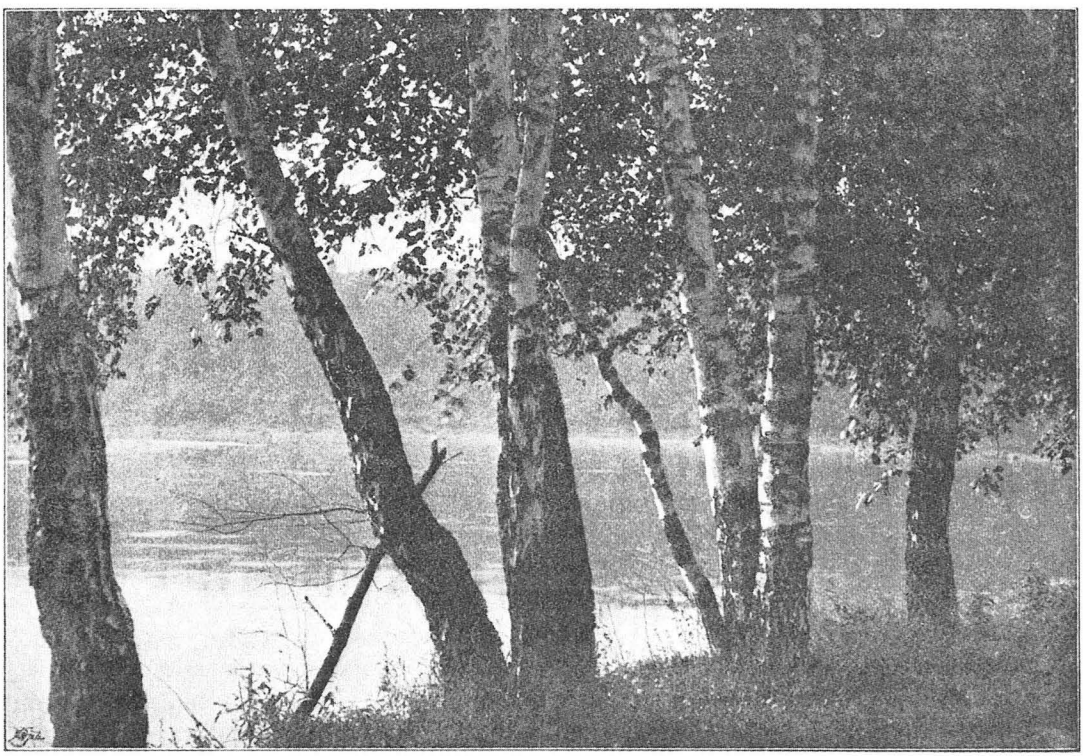

Brzozy w parku Birsztańskim.

prawym brzegu Niemna podłużny nasyp wzniesiony podobno r. 1812 przez Francuzów, którzy przeprawiając się tutaj z Napoleonem, jak mówi ludowe podanie, czapkami jakoby mieli nanosić tę ziemię. Przy tym nasypie jest *binduga* (czyli miejsce wywózki drzewa z lasów do rzeki i spławu), założone stosami dębowej klepki. Dalej mijamy rapę zwaną *Kowalkami*. Główny jej głaz, o który rozbił się nie jeden już statek, zowie się *Kowałem*. Wzgórza prawego brzegu, przy zakręcie niemnowym, zdobi tu piękny bór świerkowy i kilkanaście starożytnych dębów. Na lewym zaś brzegu i nad rzeczką Świętą, szumiały podobno niegdyś święte gaje Litwinów. We wsi Opuszała, położonej niedaleko źródeł tej rzeczki, urodził się

r. 1786 Feliks Bernatowicz, autor Pojaty, najlepszej powieści historycznej swego czasu. O milę na północ Świętej leżały bagna, jakoby dyabłom niegdyś poświęcone, zwane *Welniszker* — grunta dyable. Kolebka Bernatowicza, owiana tylu tradycyami starej Litwy, wykołysać musiała oczywiście twórcę Pojaty, którego portretu poszukujemy dotąd daremnie.

Gleba stron nadniemeńskich, staje się od Merecza coraz lepszą, mianowicie na lewym brzegu Niemna. Gdy od Olity na wschód ciągnie się kraj piaszczysty i ubogi, to na zachód i północ znakomite rodzą się pszenice i począwszy od Bortkuniszek, gleba zaczyna przechodzić w czarnoziem »traktu zapuszczańskiego«. Lud jest tu pracowity, trzeźwy, gospodarny i zamożny. Kmieć często wianuje córkę tysiącami rubli, a syna posyła do szkół w Marjampolu lup Suwałkach i kieruje na księdza w seminaryum sejneńskiem. Nie przeszkadza to, że lud ten trzymając się uporczywie tradycyi zamieszkuje przeważnie chaty *kurne* i pomimo, że przepisy policyjne w Królestwie już od dawna nakazują murowanie dymników, to jednak w dość dużej wsi Poświętupiach, dwa tylko domy znalazłem (1872 r.) z dymnikami. Konie włościan są niewielkie, ale kształtne, przeważnie kasztany i bułane do żmudzkiej rasy zbliżone. Wózków jednokonnych to nie widać, tylko dyszlowe, do których bogatsi zaprzęgają nieraz w święto po trzy i cztery konie. Kto ma jednego, zaprzęga go także nie w hołoble ale przy dyszlu. Do orki używają tu jeszcze sochy, u której na rękojeściach widziałem nasadzone rogi bydlęce. Woły kierowane są nawoływaniem podług ich maści; w pobliżu miasta zastępowane są częściej końmi.

Puszcza preńska, ciągnąca się niegdyś ponad Niemnem ku Kownu, obfitowała w dąb i lipę, a tem samem w dziki i pszczoły. Tak jak w lasach balwierzyskich, rosły w niej także cisy, a pamiątkę po nich stanowi nazwa uroczyska »*cisowe*«. Z kwiatu lip zbierały pszczoły litewskie słynny lipiec, a z dębu wyrabiali bednarze klepkę. Stąd poszły nazwy sioł: Boczkieniki i Boczkienikiele (beczkarze). Boczkienikiele leżą w prześlicznem położeniu nad Niemnem, z pięknym ogrodem na stoku doliny niemnowej, łączącym się z lasem; a liściowe lasy tutejsze, gdzie jeszcze nie są wycięte, wyglądają jak najpiękniejsze parki. We dworze boczkienikielskim, kwaterowali r. 1812 Eugeniusz Beauharnais i Michał Ney i przyglądali się stąd ruchom wojsk na polach Dorsuniszek. W tych Dorsuniszkach istniał niegdyś zamek, zwany przez Krzyżaków *Dirsunen*. Gdy Jagiełło r. 1418 płynął z królową i senatem do Wielony, Witold powitawszy tu świetne grono, miał naradę, po której król odpłynął dalej. Dziś ubogie, rolnicze miasteczko kryte słomą, budowane z okrąglaków. Nawet szczyty stodół stawiane są z kloców kładzionych poziomo pod sam strop.

Dzień był piękny, bibiki napełniały swoim krzykiem powietrze, gdy szliśmy po malowniczem brzegu wysadzaną drzewami drogą z Boczkienikiel do Gogów. Oryle powiadają, że przy uroczysku Gogi, Niemen szczególnie obfituje w pstrągi. Naprzeciw wsi Gogów znajduje się wysepka, a przy niej bardzo niebezpieczna rapa zwana *Gogiem* lub *Gogą*. Nazwy te muszą mieć jakiś związek z powiatowym szczepem ludu litewskiego zwanym *Gogami*, który razem z *Dziukami*, *Stakami*, *Szakami* i *Zanawikami* stanowi litewską ludność «traktu Zapuszczańskiego» t. j. północnej połowy dzisiejszej gubernii Suwalskiej.

Napotykamy teraz stoki doliny Niemna podniesione wysoko. Chciałoby się wchodzić na te wszystkie wzgórza, aby napoić wzrok rozkosznym widokiem, na głęboką dolinę rzeki, ale czasu i nóg na wszystko nie starczy. Chaty wieśniacze tulą się nad Niemnem pod wzgórzami jak małe kurczęta pod kokoszą, lub zasiadają na ich grzbietach. Na brzegach spotykamy niekiedy człowieka, zbierającego w urwiskach stoków kamień wapienny. Wstąpiliśmy do wsi Pilony, mającej obszerne i chędogie domostwa, wśród ogrodów pełnych bujnego warzywa i soczewicy. Gospodą jednak w starej Pilonie, sądząc z pustki, nie opiekował się już litewski bożek jadła *Ežagulis*, ani znana w niej być musiała uroczystość *skierstuwes (kiszkowe)*. Gospodarzem był tylko mazgajowaty, gołowąsy, ale już żonaty i dzietny

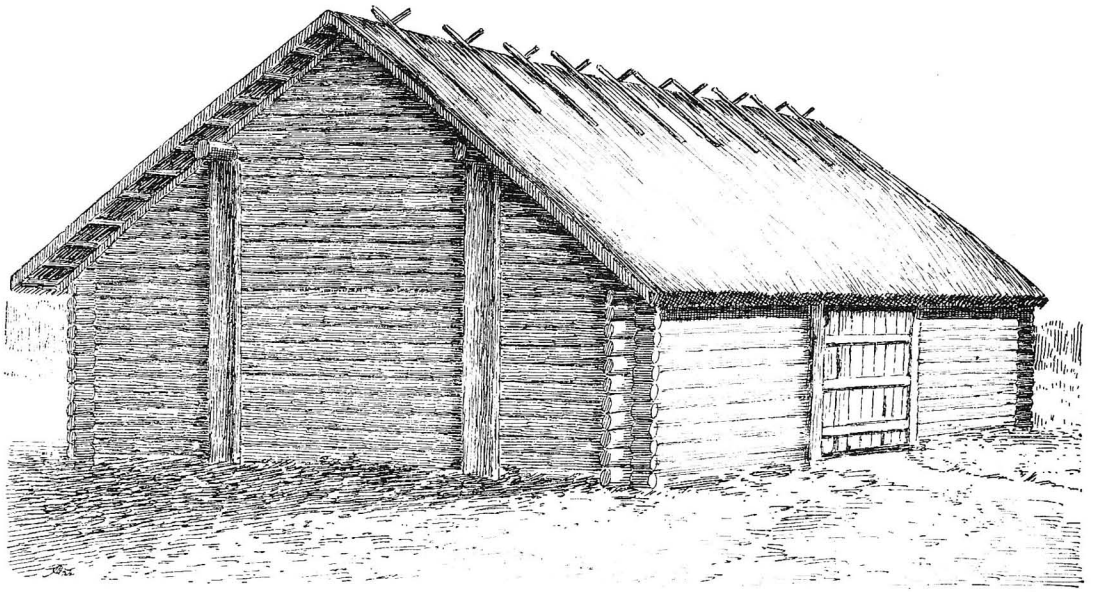

Stodoła chłopska w Dorsuniszkach.

arendarz, który nawet dla naszego Wiktora żadnego posiłku do sprzedania nie posiadał, częstując ino wódką i kwaśnem piwem.

Poniżej Pilony znajduje się *Lejbowa soła*, głaz podwodny, nazwany tak od czasu rozbicia się wiciny kupca grodzieńskiego Lejby Łososiańskiego. Przy sole zwanej *Kozak*, Niemen zwraca się nagle na wschód, gdzie w pięknej okolicy rozsiane są na wyżynach zamożne kolonie. Poniżej ujścia Strawy (stanowiącej tu granicę gub. Wileńskiej z Kowieńską) w zacisznem ustroniu, wśród pięknego sadu stał pod słomianym, ale podwójnym, staroświeckim dachem, drewniany dawny dworek z gankiem na słupach i widokiem z ganku na Niemen. Był to jakby rodzony brat owego tak pamiątkowego w Mereczowszczyźnie, którą niedawno w karygodny sposób strwoniono.

Malarzu lub poeto! Jeżeli zechcesz wystawić nasz wiejski, skromny przybytek pracy rolnika, ognisko starych cnót rodzinnych, i zacnej tradycyi obyczaju domo-

wego, to powinieneś, jeżeli dworek stoi jeszcze, odtworzyć wiernie to typowe ustronie. Ale żegnaj miły dworku litewski!... łódkę moją unosi bystry Niemen... już raz ostatni zwróciłem tęskny wzrok ku tobie... już cię nigdy więcej nie zobaczę... a opuszczam nieświadom czyjem gniazdem byłeś lub jesteś!

Mijamy młyn wodny i ujście Strawy, poniżej którego znajdują się soły zwane *Woroniata* — wronięta. Brzeg lewy tu płaski, jak zwykle bywa półwysep kolana rzek niegórskich, za to prawy piętrzy się w gaiki i zarośla, które dla tego, że porastają na urwiskach i stromych stokach nie zostały jeszcze wytrzebione pługiem i motyką. Przed Rumszyszkami zaczął nas prześladować wiatr silny, który pozwalał płynąć tylko przy brzegu, gdzie znowu łódka nasza więzła wśród kamieni. Rumszyszki, małe miasteczko w pow. Kowieńskim, przy ujściu strumyka zwanego Przemianą, leżały niegdyś na szlaku, kędy Krzyżacy przeprawiali się nieraz przez Niemen, gdy uderzali w serce Litwy. Poniżej miasteczka drobny nasz statek miał przebywać słynne *Dyable mosty* na Niemnie.

Gdzie za Rumszyszkami wieś Szylany, tam znajduje się rapa pierwsza, która jako groźny bicz na wiciny i tratwy nazwaną została *Biczeniata* — Biczęta. Ciągną się tutaj na kilkuset krokach ławy podwodnych kamieni, a bystra rzeka bałwani się na nich i burzy. Podług mapy podręcznej, ale szczegółowej koryta niemnowego od Rumszyszek do Kowna, jaką posiadałem, najgłówniejszy z głazów tej rapy zowie się *Spirgus*. Środkiem rzeki jest dość wązka »droga«, którą statki przepływają, nigdy jednak jeden blizko za drugim, ale w znacznem oddaleniu, bo gwałtowny prąd tak szybko je unosi, że gdyby pierwszy napotkał jaką przeszkodę, to drugi mógłby go rozbić. Pod wodę zaś z mniejszem niebezpieczeństwem, ale wielkim oporem, wiciny przeciągane są przez kilkudziesięciu ludzi. Wiktor zalecił nam wysiąść z łódki, którą puściwszy na bystry nurt »drogi« szybko przepłynął Biczęta, gdy my tymczasem na żwirowych wybrzeżach zbieraliśmy skamieliny ze świata paleontologii czwartorzędowej.

Mijamy dalej podwodne głazy: *Matrosz*, *Trębacz i Straż*. O pół mili poniżej Rumszyszek bielą się zdala na wyżynie lewego brzegu liczne mury folwarku Dworaliszek, wprost których jest ów właściwy »*most dyabelski*« będący największą z rap niemnowych, zwaną *Biczami* przez orylów, którzy powtarzają przysłowie:

»Jak wyjdziesz cało z *Goga*,
To chwała Pana Boga,
A jak przejdziesz *Biczeniata i Biczy*,
To hroszy liczy!!!

Czem Charybda na morzu Śródziemnem i niegdyś Bingerloch na Renie (kędy miał pierwszy Karol Wielki przepłynąć), tem na litewskim Niemnie są *Bicze*, po których najniebezpieczniejsze są *Biczęta*, następnie dopiero idzie *Gog*, czwartą jest *Hrymjaczka* w gub. Grodzieńskiej i *Kamok* pod Rumbowiczami.

Już na półtora tysiąca kroków pod *Biczami* usłyszeliśmy szum Niemna, podobny do odgłosu dalekiego wodospadu. Dalej ujrzeliśmy biały, na poprzek rzeki rąbek, którym były fale rozbijające się o ławę podwodnych głazów. Przypomniał

mi się opis Charybdy z z dwunastej pieśni Odyssei w mistrzowkiem tłómaczeniu Siemieńskiego:

»Minąwszy zatem wyspę, ujrzałem w tej chwili,
Jakby dym i wał wielki łamiący się z grzmotem,
Aż z rąk wiosła wypadły ze strachu i potem
Same biły się z falą; a nawa jak wryta
Stanęła« . . . . . .

Szczęściem naszem Wiktorowi ani wiosło nie wypadło, ani nawa nie stanęła, gdy przepływał *Biczęta*. Postanowiliśmy tedy razem z nim na czajce przepłynąć *Bicze*. Niemen jest tu jakby zagrodzony szeroką, podwodną barykadą, w środku której ścieśniony prąd rzeki wyłamał sobie wrota i toczy się tą drogą, potężnie falując. Była więc tylko obawa, aby czajka przy nizkich bokach swoich nie zaczerpnęła wody tych fal. Oryl prosił nas, abyśmy pozostali nieruchomi i on sam sterował wprawną ręką. W bujnej wyobraźni byliśmy podobni do łupiny orzecha rzuconej na fale potopu. Miałem z sobą Grażynę, a przebycie »Dyabelskiego mostu« tyle nam zajęło czasu, ile przeczytanie ustępu:

»Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi,
Gdy Rumszyskiego napotka olbrzyma,
Wkoło go mokrem ramieniem obchodzi,
Dnem podkopuje, pierś górą wydyma;
Ten natarczywej broniąc się powodzi,
Na twardych barkach gwałt jej dotąd trzyma,
Ani się zruszy skała w piasek wryta,
Ani jej rzeka ustąpi koryta«.

Dosłownie biorąc, ustęp powyższy nie maluje ściśle natury »dyabelskiego mostu«. Niema tu bowiem jednej olbrzymiej skały, ale Niemen walczy z całemi ławicami podwodnych głazów. Stara odręczna mapa zaznacza koło Dworaliszek i folwarku Kosobudzkiego, oprócz drugorzędnych, siedmiu wielkich kamieni z nazwami: *Kocioł, Malachowicz, Malachowicy, Dyabelski most* (przy głównych wrotach), *Szklanka, Rusak,* czyli *Gudas* i *Kirda*. W pobliżu zaś cegielni i ujścia strumienia Miltupis znowu dwa: *Biczy* i *Sole,* czyli *Wyspa*. Według baśni ludowej, kamienie te rzucili do Niemna szatani, chcąc na psotę ludziom zatamować rzekę i stąd powstała nazwa »dyabelskiego mostu«. Inne podanie mówi, że gdy dyabeł niósł wielki głaz, aby rozwalić nim klasztor nienawistnych sobie Jezuitów, nagle kur zapiał i szatan upuścił skałę w wodę.

Już za Zygmunta Augusta począł oczyszczać Niemen z głazów Mikołaj Tarło ze Szczekarzewic, chorąży przemyski, a ziemianie litewscy mieli mu wznieść kamienny pomnik za tę zasługę, którą wierszem łacińskim opiewał szlązak Schroether. Stanisław August, zachęcony przez podskarbiego Tyzenhausa, polecił oczyszczenie Niemna Komisyi skarbu litewskiego, która zadanie to poruczyła znakomitemu matematykowi i mechanikowi ex-jezuicie Narwojszowi, proboszczowi grodzieńskiemu

i kanonikowi katedralnemu w Wilnie, gdzie był później profesorem Akademii. Nasadzono więc Jezuitę, aby zniszczył »mosty dyabelskie«, jako biegły w takich praktykach. I rzeczywiście Narwojsz, który przez lat kilka studyował mechanikę w Anglii, Holandyi i Niemczech, pracował z pewnym skutkiem przez trzy lata nad oczyszczeniem Niemna, przy pomocy nurków angielskich, ale największych głazów pod Rumszyszkami usunąć nie zdołał. Skutkiem tego nie stanął tu zamierzony dla niego pomnik z wydobytych skał, z napisem przygotowanym już przez Krasickiego. Później, w latach 1805—1806, tudzież 1820—1825, brano się znowu do oczyszczenia Niemna, ale z niewielkim skutkiem.

Niemen przy najniższym stanie wody, posiada wszędzie obok mielizn dostatecznie głęboką »drogę« dla żeglugi, a na długości mil 40-tu znaleźliśmy tylko jeden bród (niedaleko wsi Słomianki w gubernii Kowieńskiej), gdzie rzeka rozlewa się szeroko i tworzy kilka wysep, a kędy ludzie pieszo przechodzili. Gdyby więc tylko rapy zostały usunięte, to żegluga parowa stałaby się wszędzie możliwą i łatwą. Na przestrzeni od Biczów do wysep pod Słomianką, główniejsze skały podwodne noszą nazwy: *Obelinis, Jaczubieski, Jankowski, Matulis, Owczany* z dziećmi, *Oskierki, Jurewicz, Płaski, Czerwony, Kiełbuzy, Jaglic, Kony* i *Brudacze.*

Słońce już zaszło za bory, gdy minąwszy pod Zegzdrami jeszcze rapę *Bojarkę* i głaz zwany *Skorulskim,* wylądowaliśmy pod piaszczystem wzgórzem, na którem stała karczemka, mająca być siódmym naszym noclegiem w tej podróży. Miejscowość była dziwnie samotna i ponura. Dokoła szumiał ciemny bór, ale nie poważnym szumem starej puszczy, lecz szelestem sosen cmentarnych. Nigdzie światełka, nigdzie człowieka, nigdzie psa nawet nie było, tylko w dali dymiło się z kilku chat małej wioseczki. Na nagiej wydmie stała przed nami otworem ciemna, obdarta, z powybijanemi oknami karczma Łaumiańska. Weszliśmy do niej. Była głucha i pusta. Dopiero po narobieniu hałasu, wynurzyła się z jakiejś komórki, niby duch pokutniczy garbata, stara, kaszląca żydówka, od której dowiedzieliśmy się, że jej syn, arendarz, pojechał gdzieś, bardzo daleko, a ona nie ma nic dla nas do sprzedania. Staruszka badała nas, co jesteśmy za jedni, a przyszedłszy do przekonania, że nie powracamy z kryminału, radziła szepcąc, aby nasze walizki schować pod łóżko w jej izdebce, bo jak mówiła, zachodzą tu czasem »różni ludzie«.

Mieliśmy jednak z sobą trzy dębowe wiosła, jeden rewolwer i trochę junackie serca, więc o chowaniu walizek pod łóżko garbatej staruszki nie było mowy, ale brakło nam mleka i jajek na jajecznicę. Wyprawiliśmy Wiktora na liwerunek do wioseczki, skąd długo nie powracał. Nareszcie wrócił z długim nosem opowiadając, że wszystkie chaty znalazł ciemne i bezludne, dopiero w najdalszej usłyszał śpiewanie. Poszedł więc do niej i zastał tam nieboszczyka na słomie, a nad zmarłym śpiewających pieśni pobożne wieśniaków i zwyczajem starym stół zastawiony obficie wódką, piwem, miodem i nabiałem. Odprawiający tryznę rzekli mu, że na sprzedaż nie mają nic, ale kto głodny, niech z nimi zasiądzie i śpiewa w ciągu nocy, a będzie mógł posilać się ile zechce.

Niestety nie umieliśmy śpiewać litewskich pieśni pogrzebowych i obawialiśmy się o walizki brzemienne zdobyczami mozolnych poszukiwań, wyprawiliśmy tedy Wiktora, aby pośpiewał nad zmarłym, jeżeli potrafi. Największa zaś nadzieja była

w starej żydówce, która poszła z nim razem. Jakoż po pewnym czasie powrócili oboje niosąc garnek mleka i tuzin jajek, za co odrzucono z oburzeniem nasze pieniądze i położono tylko warunek, abyśmy to wszystko spożyli na intencyę nieboszczyka.

Noc czarna jak grzech śmiertelny, dzikość okolicy i pustkowia, świst wiatru w pustym budynku, krzyki sów w powietrzu, oddalenie od rodzinnego ogniska, a nadewszystko obraz nieboszczyka w sąsiedztwie i dolatujący z powiewem wiatru śpiew żałobny — wszystko to składało się na atmosferę posępną i cmentarną. Sen pomimo to mroczył powieki, więc podesławszy sobie burkę na chwiejącym się i skrzypiącym stole karczemnym, wziąwszy wiosło pod pachę, usnąłem z myślą o »chauturach« i »dziadach«, jako zwyczajach płynących z pojęć o życiu zagrobowem u starej Litwy.

Wszedłszy na pagórek, powitałem raz ósmy wschodzące słońce w dolinie Niemna i spojrzałem w stronę Kowna, jak Mojżesz ku ziemi obiecanej. Duch mój nie czuł wprawdzie najmniejszego znużenia, ani znudzenia podróżą, dla której poświęciłbym choćby miesiąc, ale nogi, które większą połowę 40-milowej przestrzeni odbyły pieszo po górzystych i kamienistych wybrzeżach, dopominały się o trochę wywczasu. Ośm najkrótszych, prawie bezsennych nocy i ośm dni upału, dawały się już nieco uczuwać. Twarze nasze i ręce ogorzały jak stary pargamin. Kowna jednak nie było wcale widać, tylko nad dalekim, sosnowym borem lśniła się w blasku słonecznym wspaniała kopuła jakiejś świątyni. Był to dawny kościół w Pożajściu, jeden z najpiękniejszych w byłej Rzeczypospolitej, wzniesiony wielkim kosztem dla Kamedułów r. 1662 przez Krzysztofa Paca, którego rezydencya na przeciwległym brzegu Niemna leżała.

Po parogodzinnej drodze mijamy Pożajście i rapę niemnową *Kamedułkę.* Wiktor zapewnia nas, że jest to 34-ta rapa w Niemnie od Grodna, nie licząc kilkudziesięciu *sół* i *sołek,* a przedostatnia przed Kownem, że od Kowna do morza, Niemen ma podobno już tylko jedną rapę *Kotkę.* Piękna wstęga rzeki wije się nam znowu dzisiaj kręto. Pożajście mamy kilkakrotnie to przed sobą, to za sobą. Mijamy wieś Pietraszuny i znaczne głazy w łożysku Niemna, mające swoje nazwy: *Winda, Gryczany, Lisy* z dziećmi, *Suczka, Petrasz, Koin,* tudzież ujście strumyka *Omolis.* W pobliżu małej wysepki i zakrętu Niemna, linia drogi żelaznej Wierzbołowskiej, idąca z Wilna do Kowna, kryje się w tunel, najdłuższy w Cesarstwie. Górę nad tunelem porasta las z dębów i lip mieszany, a ciągnący się na stokach prawego brzegu w stronę Kowna. Na tej przestrzeni spotykamy głaz zwany *Czartową łaźnią,* a dalej inne granity z nazwami: *Królewska komora* z dziećmi; *Dziacka* z dziećmi, *Szumak; Dynak; Jocz* z dziećmi; *Stożek* i *Słabocki.* Zbytecznem może będzie objaśniać, iż »dziećmi« mianują oryle pomniejsze kamienie, otaczające głaz największy, mający swoją nazwę. O *Czartowej łaźni* krążą te same legendy, co o *Dyabelskim moście,* że szatan niósł te kamienie na zburzenie kościoła w Pożajściu, ale usłyszawszy pianie koguta, upuścił je w Niemen. Inne podanie mówi o Pacu, fundatorze klasztoru, że zdybawszy dyabłów na naradzie, rozpędził ich kijem jarzębinowym.

Na pół mili przed Kownem, w pobliżu ujścia obfitującej w pstrągi rzeczki Jesi, leży miasteczko Poniemuń. Wielki nad Niemnem spichrz zbożowy w Ponie-

muniu przypomina bogactwo gleby okolicznej i rozległy niegdyś handel kupców poniemuńskich. Niemen od Poniemunia do Kowna ma łożysko wolne od głazów i rozlewa się tak n. p. szeroko, jak Wisła pod Nowo-Aleksandryją, tworząc w jednem miejscu wyspę (16-tą napotkaną przez nas od Grodna). Od Poniemunia szliśmy pieszo do Kowna rozkosznemi ścieżynami wzdłuż podnóża wyniosłych stoków doliny Niemnowej, pokrytych przepięknym lasem z bujnych lip, dębów i jesionów złożonym. Od wsi Dziewogoła (po litewsku: początek bóstwa) zaczynały się niegdyś podobno święte gaje bogini miłości Aleksoty, której urocza piękność, podług wiary pogan, nie mogła być wyobrażona w posągu ani malowidle. Cóż dziwnego, że dla takiej bogini poświęcono jedno z najrozkoszniejszych ustroni Litwy? Tutaj, na wyniosłości zwanej niegdyś Praurimie, a dziś Wesoła, podobno obchodzili poganie ucztą i pieśnią owe chautury czyli dziady i tryzny. Tutaj przechodnie rzucali na kurhan gałązki przez rok cały, aby potem przez ogień zapalonego stosu oczyszczały się dusze.

Napawaliśmy się wiosenną jeszcze świeżością przyrody, a przedarłszy się na górę przez bujną i cienistą gęstwinę, pełną świergotu ptasząt, poiliśmy długo wzrok nasz widokiem krajobrazu Niemna. Była to właśnie podług słów Wincentego Pola owa:

...najwdzięczniejsza kowieńska dolina,
W całem dziedzictwie kniazia Gedymina.

A komuż na jej wspomnienie nie przyjdą na myśl słowa Mickiewicza:

»Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawą, kraśnym dzierzga kwiatem —
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie«.

Za Niemnem leżało Kowno, które z wieżami dziesięciu świątyń i malowniczem położeniem miało z oddali pozór wielkiego i porządnego miasta. W przystani kowieńskiej stało na kotwicy kilkadziesiąt pruskich batów o dwóch i trzech masztach, a sześciu lub dziewięciu żaglach. Statki te zbudowane na kształt małych okrętów, pomalowane różnobarwnie, z flagami różnych kolorów na masztach, nadawały przystani widok portu morskiego. Należały one do kupców z Królewca, Tylży i Kłajpedy (Memla), a krążyły tylko do Kowna, powyżej którego żeglują wyłącznie wiciny i baty litewskie odrębnych kształtów. W dniu naszego przybycia odpływało kilka statków pruskich z ładunkiem kości, szmat i pięknej białej pszenicy. Wewnątrz innego statku ze zdjętym dachem zauważyłem zdala tłum obdartych kobiet i mężczyzn, podrygujących wesoło przy okrzykach i śpiewie. Nie umiałem sobie w żaden sposób wytłómaczyć przyczyny tego niezwykłego widowiska. Aż na miejscu objaśniono mnie, że byli to żebracy, najęci za wódkę do udeptywania szmat ładowanych do batu, a wywożonych z Litwy do niemieckich papierni.

Cały Niemen umoszczony był drzewem z Pińszczyzny, które Prypecią, Jasiołdą, kanałem Ogińskiego, Szczarą i Niemnem, płynęło tędy za granicę z wielkim

Starożytny dom z wieku XV w Kownie.

ładunkiem wołyńskiej pszenicy i jęczmienia, a nawet wytłoczyn z olearni. Oryle spławiający to drzewo, zwani tu *pińczukami*, wyglądali tak niechędogo, że można by ich posądzić, że się jeszcze nigdy oko w oko z wodą nie spotkali. Klepka dębowa z gubernii Wileńskiej, Suwalskiej, Kowieńskiej, jest równie jak budulec ważnym przedmiotem wywozu litewskiego, podobno już od czasów, w których Długosz policzył Niemen do rzek spławnych naszego kraju. Za Zygmuntów, opiekujących się troskliwie handlem i dobrobytem litewskim, postanowieni byli w Kownie przysięgli brakarze do szacowania wartości różnych gatunków drzewa i produktów krajowych do Prus spławianych, aby tam powtórnie onych nie szacowano.

Kolchidą dla podlaskich Argonautów stał się dzisiaj w Aleksocie »Zajazd Suwalski«, przed którym nawa nasza dobiła do lądu. Kiedy wysiedliśmy już z czajki, Wiktor podziękował Bogu za szczęśliwą podróż, potem ułamał kęs chleba, posypał go solą i rzucił do wody na znak pożegnania się z Niemnem. Była to jakby cześć oddana rzece rodzinnej, a w rzeczywistości tradycya czci, oddawanej przez dawnych Słowian bóstwu rzeki, która była błogosławioną żywicielką, obroną i szlakiem wędrówek. Teraz przekonałem się, że człowiek przywiązuje się nie tylko do ścian więzienia, wśród których długo mieszkał, do konia na którym długo jeździł, do kubraka w którym chadzał, ale i do kilku desek, na których podróżował. Gdy Wiktor oddalał się na czajce, którą poleciliśmy aby sobie spieniężył, patrzyłem na nią do chwili, aż nie znikła zupełnie z oczu naszych. A i nasz Mazurkiewicz nie był zwyczajnym orylem, ale w niewygodach i przygodach wiernym sługą i życzliwym przyjacielem. Teraz przestał już być naszym sługą, ale pozostał jeszcze przyjacielem. Wybierał się w powrotną, pieszą wędrówkę do rodzinnej Łososny, obiecując sobie, że po pięciu dniach drogi tam stanie. Żegnał się z nami ze smutkiem i łzami w oczach, bo zapewne żegnał — na zawsze.

# W 27 lat później.

## (Dzienniczek podróży po Niemnie od Kowna do Jurborga).

Ujście Wilii było kresem mojej wycieczki po Niemnie w r. 1872. Przybyłem wówczas do Kowna małą łódką, a z Kowna powróciłem drogą żelazną, zmuszony do odłożenia na przyszłość dalszej podróży wodnej. Dziś po dwudziestu siedmiu latach (w końcu czerwca 1899 r.) przybyłem do Kowna koleją, aby od ujścia Wilii pożeglować wodą w dół Niemna, mil kilkanaście, ku granicy pruskiej.

Na wstępie spotkała mnie w wagonie drobna, ale nieprzyjemna przygoda. Jakaś pani siedząca naprzeciwko, po wyjeździe z Lantwarowa ku Kownu, zakładając swój parasolik na siatkę, strąciła wiszący przy oknie mój kapelusz, który przez otwarte okno wypadł z wagonu. Biedaczka tak się tem strasznie zakłopotała, że przypuszczam, gdybym zażądał na przeproszenie jej pocałunku, zdecydowałaby się na to niezawodnie. Że jednak dla nas obojga zielona wiosna życia należała już do wspomnień przeszłości, więc nieznajoma pani chciała mi tylko ofiarować swój parasolik za kapelusz. Wolałem wszakże przybyć do Kowna z gołą głową, niż pod damskim parasolikiem w noc ciemną.

Po gościnnym i zachwycająco wygodnym noclegu u pana Norejki i Zana, obsługiwany przez znanego w Kowieńskiej gubernii miniaturowego, poczciwego Józefa, wybrałem się rano na miasto, aby kupić kapelusz i przekonać się potrosze, co się też w Kownie od czasu ostatniej mojej tam bytności zmieniło. Zmiany pozornie znalazłem niezbyt wielkie. Przybyło kilkanaście większych kamienic, parę cerkwi, tramwaje i moda pstrocizny barw na szyldach, tramwajach, a nawet — w katedrze biskupiej. Na ulicach zawsze pełno zgiełkliwych i wciągających za łokcie do swoich kamienic izraelitów, wśród których niespodziewanie spostrzegasz sklep chrześcijański z wędlinami i na szyldzie głowę wieprza, trzymającą w zębach na sznurku szynkę.

Z pośpiechem biegnę do katedry, aby na intencyę szczęśliwej podróży zmówiwszy pacierz w gmachu Witoldowym, przypatrzyć się wiszącemu w prezbite-

ryum od kilku wieków ogromnemu i ciekawemu portretowi wielkiego bohatera Litwy. Gdy byłem w Kownie dawniej, nie miałem z sobą, jak dzisiaj, towarzysza z wybornym aparatem fotograficznym, cieszyłem się zatem teraz, że zdobędę pożądaną fotografię, choćby przyszło ustawiać kamerę na wysokiej drabinie, jak to było przed cudownym obrazem N. M. Panny w Czerwińsku. Nie wątpiłem, że portret Widolda, jako największego z krwi i kości w dziejach średniowiecznych Litwina, a przytem założyciela dyecezyi i katedry żmudzkiej, musi być w szczególniejszej obserwie i okurzony, a może odnowiony (co zresztą nie jest pożądanem), da się tem lepiej odfotografować. Jakież więc było moje zdumienie, gdy na ścianie kościelnej nie znalazłem już ani gwoździa, gdzie wisiał obraz. Zapytałem, co się z nim stało, ale żaden z młodych księży żmudzkich nie umiał mię objaśnić. Nawet o tem, że portret taki był, nie tak dawno jeszcze, ozdobą tej świątyni, nic nie wiedziano. Przypuszczano tylko, że pewnie będzie o tem wiedział jeden z kapłanów starszych, który wyjechał na kilka dni z Kowna. Nie wątpię, że dowiedziałbym się, co zrobiono z tym pamiątkowym portretem, gdybym miał czas na dłuższe poszukiwania. Miałem jednak ten czas tak ograniczony i byłem tak wzruszony tem, że nie znalazłem pamiątki na miejscu, gdzie wieki przewisiała, iż nie mogłem mówić o niej spokojnie.

W lewej, bocznej nawie katedry znajduje się piękny, stary ołtarz, który odfotografowaliśmy. W zakończeniu zaś prawej nawy zbudowano niedawno okazałą kaplicę w stylu gotyckim, na przechowywanie przenajświętszego Sakramentu. Kaplica ta, malowana wewnątrz bardzo jaskrawo, posiada ołtarz snycerską robotą gotycki i malowane na ścianach obrazy świętych w stylu podobnym do bizantyńskiego na tle złoconem. Młody, uprzejmy ksiądz, który mnie oprowadzał, z pewnym rodzajem dumy oświadczył, że ołtarz rzeźbiony był w Szwecyi, a do pomalowania kaplicy sprowadzono artystów aż z Tyrolu! Mój Boże! pomyślałem sobie, że też nie znaleziono już żadnego Litwina w Warszawie, Krakowie lub Wilnie, który i ołtarz wyrzeźbiłby tak samo, a pomalował ściany wprawdzie mniej jaskrawo, ale więcej harmonijnie i zgodnie z poważnym stylem całej świątyni. Widziałem np. u mieszkającego w Warszawie artysty i profesora snycerskich rysunków p. Ignacego Wróblewskiego, Litwina rodem, autora podręcznika dla stolarzy i snycerzy, daleko piękniejsze wzory, niż ołtarz wyrzezany w Szwecyi. Ten brak snycerzy na Litwie przypomniał mi jedną chwilę podziwu, którą miałem niegdyś na Żmudzi. Gdy przed dwudziestu kilku laty byłem w Szawlach na wystawie rolniczej (już nie pamiętam, na której z rzędu, bo było ich tam trzy, a jeździłem na wszystkie i na ostatnią w r. 1879), pokazywano mi wyroby dowodzące niepospolitego talentu snycerza, którym był małoletni syn włościanina żmudzkiego. Nie wątpię, że talent ten musiał zmarnieć i chłopiec nie rzeźbił później ołtarzy, gdy nie posłany nigdzie na naukę, zaprzągł się do pługa i kosy.

Nie mogę tu przemilczeć jeszcze o jednym fakcie, dowodzącym widocznego postępu w Kownie. Oto, gdy przed dwudziestu siedmiu laty, pragnąc mieć fotografie widoków tego miasta i pięknych jego okolic, poszedłem do głównego wówczas zakładu fotograficznego w zamiarze nabycia tychże, dziwiono się bardzo mojemu żądaniu i mierzono wzrokiem od stóp do głowy, jakby chcąc zbadać, ja-

kiego rodzaju mam bzika. Obecnie już wskazano mi zakład fotograficzny pana Zatorskiego, który uzyskawszy sobie od komendanta twierdzy kowieńskiej prawo fotografowania miejscowych widoków, posiada gotowe do zbycia. P. Zatorski, uważając to prawo za swój wyłączny monopol, żalił się przed nami, że jeden z księgarzy miejscowych robi mu konkurencyę, sprzedając otwarte karty pocztowe z widoczkami Kowna, za co ma wytoczyć mu proces. Widok pięknego ratusza i kościoła jezuickiego fotografowaliśmy z okna jakiegoś hotelu, w którym najęłem w tym celu numer. Nie było bowiem czasu na wyjednywanie odpowiedniego pozwolenia u komendanta fortecy, skoro tegoż dnia mieliśmy z Kowna wyruszyć w drogę po Niemnie.

Najęcie lub kupno łodzi i znalezienie przewoźnika do podróży kilkonastomilowej, okazało się rzeczą niemożliwą bez znacznej mitręgi czasu, a oczekiwać w Kownie dni kilka na niepewny rezultat było niepodobieństwem. Postanowiliśmy tedy wyruszyć statkiem parowym, korzystając z tego, że kursowało codzień na przestrzeni między Kownem i Jurborgiem 6 parowców, t. j. po 3 w każdą stronę, w różnych porach dnia. Można więc było zatrzymywać się wszędzie, od jednego statku do drugiego, i robić w tym czasie wycieczki pieszo, końmi lub łódką, którą prawie wszędzie na kilka godzin nająć łatwo. A przytem pan Abdon Zan, współwłaściciel statków parowych zlecił ich administracyi, aby nas w każdym punkcie wysadzano na brzeg i przyjmowano na statek, gdzie sobie tylko będziemy tego życzyli.

Deszcz lał jak z cebra, gdyśmy na ciasnej, brzęczącej, blaszanej, odkrytej jednokonce kowieńskiej, podążali z domu pana Norejki do przystani nad Niemnem. Pokład statku, noszącego mitologiczną nazwę »Perkunas« przedstawiał zgiełkliwe rojowisko ludzkie, w którem panowały na równi cztery odrębne języki: litewski, polski, rosyjski i żargon żydowski. Tłum zwiększał się przez mnóstwo napływających z okolicy Kowna pielgrzymów, którzy udawali się na jutrzejszy odpust św. Jana Chrzciciela do odległych o 2 mile od Kowna Sapieżyszek. Peregrynacya na parowcach tania, służy pobożnemu ludowi tutejszemu do gromadnego udawania się na odpusty do takich miejscowości nadniemeńskich jak: Kowno, Sapieżyszki, Wielona, Błogosławieństwo, Średniki, Giełgudyszki dolne, Jurborg i kilka innych. Wszyscy prawie pielgrzymi mieli przy sobie książki do modlitwy i zawieszone na szyi różańce, zarówno kobiety jak i mężczyźni. Gdy na pokładzie statku i w kajutach obu klas zrobiło się już bardzo ciasno, a kasyer obliczył przypuszczalnie, że liczba podróżnych przewyższyła pół tysiąca, nakazano odjazd. Niespodziewana jednak okoliczność powstrzymała parostatek jeszcze na chwilę. Oto jakiś wąsaty Litwin, prawdopodobnie rzeźnik, albo handlarz nierogacizny, zapragnął jechać razem z kupioną, czy niesprzedaną tuczną świnią. Starozakonny kasyer, nieprzyjaźnie usposobiony dla rasy nierogatej, naznaczył dwukrotnie większą opłatę od towaru, niż od osoby właściciela. Wynikła stąd kłótnia, zakończona jednak szybko wprowadzeniem na pokład czworonożnego pasażera, który o tyle był pokrzywdzonym przez izraelitę, że zapłaciwszy bilet pierwszej klasy, jechał drugą.

Deszcz lał więc i płótno stanowiące dach nad pokładem i ławkami, zaczęło

przeciekać, a woda wielkiemi kroplami kapała na nosy zbitej masy podróżnych. Powstał stąd szmer utyskiwania na niepogodę, a dwóch młodzieńców w mundurach jakiejś specyalnej szkoły uznało w tem przeciekaniu płótna fakt wyzyskiwania ludu przez przedsiębiorców, którzy pobierając po 15 kopijek od osoby za przewiezienie z Kowna do Sapieżyszek (2 mile), powinni byli zabezpieczyć każdego od zmoknięcia. Młodzi filantropi zażądali księgi zażaleń, znajdującej się na każdym parowcu, pewni, że gdy wpiszą swoją skargę, tłum opatrzy ją troskliwie swymi podpisami. Widocznie nie wiedzieli o wstręcie, jaki wogóle lud nasz ma do podpisywania się, o czem dopiero przekonali się, gdy owej skargi nikt nie chciał podpisać W dodatku jakiś stary chłop prawił im, że choćby się cała gubernia podpisała w tej księdze, to będzie płótno przeciekało zawsze, gdy taka jak dziś będzie ulewa.

Wprost Kowna minęliśmy na lewo malowniczą, pokrytą lasem wyżynę Aleksoty, a na prawo ujście Wilii, która przy połączeniu się z Niemnem, nie ustępuje mu szerokością swego koryta. Od ujścia Wilii, do ujścia Niewiaży przeszło mila. Niewiaża stanowiła historyczną granicę pomiędzy właściwą Litwą i Żmudzią, a w szczególności pomiędzy dawnym powiatem Kowieńskim województwa Trockiego i Księstwem Żmudzkiem. Na wyżynie panującej nad Niewiażą bieli się duży kościół z dwoma wieżami w Słomiance pod Czerwonym-dworem Tyszkiewiczów, gdzie kiedyś miał istnieć zamek Krzyżacki. A dalej, na przeciwległem, lewem wybrzeżu, o dwie mile poniżej Kowna, czerwieni się znowu mały, gotycki kościółek, na nizinie nadniemeńskiej w Sapieżyszkach, fundowany przez Pawła Sapiehę, wojewodę nowogródzkiego około roku 1530. Tutaj właśnie, gdy statek nasz zatrzymał się wprost kościółka, wysypała się z niego większa połowa pasażerów, na odpust jutrzejszy przybywających.

Niemen płynący od Kowna w kierunku zachodnim, robi pod Sapieżyszkami zwrot ku północy. Obydwa brzegi jego doliny są tu malownicze, pokryte zielenią drzew i krzewów. Sama dolina może przeciętnie nie stanowi głębszego jaru, jak na przestrzeni od Grodna do Kowna, ale zato jest podwójnie szeroka, i nic dziwnego, bo wyżłobiona przez setki wieków działaniem już nietylko samego Niemna, ale i połączonej z nim Wilii, a dalej Niewiaży i Dubissy. O półtorej mili poniżej Sapieżyszek, pod miasteczkiem Wilkami, Niemen zmienia swój kierunek przeważnie północny, na zupełnie zachodni, którego się trzyma już do samej granicy pruskiej, dziewięć mil od Wilk odległej i dalej w Prusiech. Wilki przedstawiają się ze wszystkich małych miasteczek nad Niemnem najcharakterystyczniej, bo jako amfiteatr starych drewnianych domków na spadzistym stoku wybrzeża niemnowego, coś w rodzaju Wyszogrodu nad Wisłą. Dzieje zapisały, że istniała tu w wieku czternastym mała warownia litewska, pod którą w r. 1384 Jagiełło ze Skirgiełłą znieśli zastęp Krzyżaków. Zygmunt I fundował w Wilkach r. 1542 kościół i nadał miejscowemu plebanowi 50 włók ziemi. Z pokładu naszego parowca odfotografowaliśmy Wilki i wielką, murowaną synagogę nad Niemnem, której ściany tak fatalnie były spękane, iż zdawało się, że runą od krzykliwych modlitw, jakie dolatywały uszu naszych z otwartych okien bożnicy.

O trzy ćwierci mili poniżej Wilk, na lewym brzegu Niemna, leży w pięknem

położeniu wieś kościelna Poniemuń, własność państwa Abdonostwa Zanów. Gościnny gospodarz tej uroczej miejscowości, najmłodszy z synów Tomasza, jechał właśnie parostatkiem razem z nami i zabierał nas do Poniemunia na nocleg. Jest tu zwyczaj, że gdy statek parowy zbliża się do którego z dworów nadniemeńskich, wioząc doń gościa, maszynista daje parą trzykrotny sygnał, a raczej przeraźliwy ryk na wiorstę przed przystanią. Jeżeli się gościa spodziewają, to mają konie gotowe, które pierwej przybywają na wybrzeże, niż statek. Jeżeli się nie spodziewają, to są w każdym razie zawiadomieni, tak, że gość niedługo potrzebuje czekać na konie. Dla odjeżdżających zaś, których uprzejmość obojga gospodarstwa nie zdołała na dłużej zatrzymać pod swym dachem, jest jeszcze inne u państwa Zanostwa udogodnienie. Na wysokiem drzewie w parku znajduje się czatownia, do której wchodzi chłopiec po drabinie i gdy z daleka spostrzeże statek, zawiadamia o tem stangreta, aby miał konie gotowe do odwiezienia gościa na przystań, i ochmichstrzynię domową (tak na Litwie nazywają klucznice, szafarki), aby zastawiała dla odjeżdżających podróżny posiłek i strzemienne.

Wszystkie większe wsie nad Niemnem sięgają założeniem swojem czasów bardzo dawnych, bo ludność pierwotna najpierw osiadała nad rzekami, gdzie miała z ryb pożywienie, i wodę do użytku, i łatwiejsze łowy na dzikiego zwierza, który do wody pić przychodził. Do takich starożytnych osad należy właśnie Poniemuń, którego przedwiekowi mieszkańcy wybrali sobie właśnie tę miejscowość, aby mieć pod bokiem i Niemen i źródliska i górę stromą. Na niej urządzili sobie warowne dworzyszcze, po którem został pagórek w parku ogrodowym, dotąd noszący nazwę «*piłkalnie*», jak wszystkie w tych stronach miejsca pogańskich warowni, co dosłownie znaczy po polsku sypana-góra, a co Polacy we współczesnej dobie piastowskiej nazywali «gródkiem», od grodzenia ostrokołów. Gdy po wprowadzeniu broni palnej, warownie podobne, z ziemi i drzewa budowane, straciły znaczenie obronne, bogatsi wznosili zamki murowane, a taki właśnie zamek zmurowano i w Poniemuniu. Dobra te zmieniły tylu właścicieli w wieku XVI i XVII, że bez archiwalnych poszukiwań nie umiem powiedzieć na pewno kto był właściwie fundatorem zamku poniemuńskiego. Gmach był wielki, więc mogło stawiać go nawet kilku następujących po sobie dziedziców, a nie przedstawiał osobliwszej struktury, ani zabytków sztuki, aby komu zależało na zbadaniu jego dziejów. Był to pierwotnie wielki kwadrat z obszernym dziedzińcem w środku. Jednej z tych połaci zamczyska niema już zupełnie, druga została odosobniona od reszty i przerobiona na dzisiejszy dwór mieszkalny. W dwóch pozostałych mieszczą się dzisiaj spichrze, składy i mieszkania gospodarskie.

Z Poniemunia robiłem kilka wycieczek po nadniemniu. Jedną na wzgórze piaszczyste, znajdujące się pod wsią Nowosadami, gdzie spodziewałem się znaleźć obfitą w zabytki krzemienne stacyę, a znalazłem w rzeczywistości tylko jeden piękny nóż krzemienny i więcej prawie nic. Natomiast pod Kaszelami, w stronę Poniemunia, gdzie przestrzeń wydm piaszczystych na wzgórzu jest stokroć mniejszą niż pod Nowosadami, natrafiłem na bardzo wybitne okrzeski krzemienne, ułamki takichże narzędzi i czerepy z grubych garnków lepionych z gliny mieszanej z tłuczonym granitem, służących starożytnym nie za popielnice, jak w zie

miach lechickich, ale do praktycznych użytków. Trzecia wycieczka z Poniemunia do osady Kruki, położonej wprost Srednik i ujścia Dubissy, nic mi zgoła nie przyniosła, bo nietylko, że żadnych śladów starożytności w Krukach nie znalazłem, ale i znajomego nie zastałem, który tu czasowo przemieszkiwał.. Poprzestać więc musiałem na odfotografowaniu jego mieszkania, które było typem dworku staroświeckiego, w małem, litewskiem miasteczku, a także na zdjęciu z lewego wybrzeża widoku przeciwległych Srednik z górą zamkową. W samym Poniemuniu odfotografowaliśmy dwór i mury zamkowe z kilku stron, rodzinę gospodarza stojącą na werendzie ogrodowej, z której roztacza się rozległy i piękny widok na dolinę Niemna. Wreszcie odfotografowaliśmy tak zwane mogiłki, czyli charakterystyczny, odludny, posępny, nieogrodzony, porosły krzakami karłowatej sosny, cmentarzyk wiejski pod wsią Kaszelami.

Nazajutrz rano statek parowy »Goplana«, nieco mniejszy od »Perkunasa«, unosił nas w miłej atmosferze wspomnień poniemuńskich, do miasteczka Srednik, położonego o milę poniżej Poniemunia, przy ujściu Dubissy do Niemna. W Srednikach, nazywanych inaczej przez Żmudzinów Bissen (od rzeki Dubissy) znajdowała się niegdyś na krawędzi góry nadniemeńskiej stara warownia litewska i krzyżacka, kilkadziesiąt razy przez strony wojujące oblegana, zdobywana, burzona i odbudowywana. Pozostały z niej tylko wały, widoczne z daleka, panujące nad okolicą, nasiąkłe niegdyś obficie krwią Litwy i rycerstwa zachodniej Europy. Mikołaj Sapieha około r. 1634 wystawił tu kościół murowany, który podmyty wodami Niemna, runął r. 1829 wraz z plebanią w dolinę rzeki. To zawalenie się kościoła średnickiego wyprzedziło o lat kilkanaście podobny wypadek na Kołoży, pod Grodnem, gdzie ze starożytnej cerkiewki, zbudowanej na krawędzi wyżyny nadniemeńskiej, obaliła się cała ściana południowa od strony Niemna i połowa frontowej od Zachodu. Wypadki podobne bardzo są ważne przy badaniach fizycznego tworzenia się dolin rzecznych. Nie ulega bowiem wątpliwości, że gmachy powyższe zbudowano pierwotnie na miejscach, gdzie powodzie rzeki nigdy przedtem nie dosięgały. Nie brano tylko w rachubę poszerzania się jarów rzecznych, nawet na tych wysokościach, gdzie powodzie nigdy nie dosięgają, ale skutkiem działania wód deszczowych i wpływów atmosferycznych, chodzenia ludzi i zwierząt, usuwa się powierzchnia stromych stoków i przestaje zabezpieczać dostatecznie fundamenta. W ostatnich czasach słynęły Sredniki już tylko z wyrobu fajeczek (lulek) czeczotkowych, zwanych »Dropiankami«.

Za Srednikami, w stronie zachodniej, widać na górze park z rezydencyą pańską, noszącą nazwę Belweder. Za Krukami minęliśmy miejscowość Żuki, gdzie u podnóża wyżyn w pięknej dolinie leśnej, stoi samotny kościółek drewniany, będący filią parafialnego, zapewnie igłowskiego. Dalej, na krawędzi wyniosłej góry widnieje w wieńcu drzew sędziwych dwór staroświecki, typowy, z wielkim gankiem i oczywiście wspaniałym widokiem na piękną dolinę Niemna. To Igłów, gniazdo rodziny Talko-Hryncewiczów, z których pan Julian, doktor medycyny, uczony, autor, antropolog i archeolog, mieszka w Troickosawsku, we wschodniej Syberyi, na granicy chińskiej, zajmując posadę lekarza kraju Zabałkańskiego. Na widok malowniczego, staroświeckiego ustronia, gdzie dobrych ludzi ciepłem sercem

i szczeremi słowy przyjmują, tworzy się w człowieku jakaś żądza wstąpienia pod dach gościnny i odetchnięcia atmosferą poczciwych serc i umysłów. Gdyby był czas po temu, to niewątpliwie wynieślibyśmy z Igłowa takie same wspomnienia jak z Poniemunia. Przywykłszy jednak do liczenia się z każdą godziną w moich wycieczkach po kraju i do odmawiania sobie wszelkich przyjemności towarzyskich, nie wchodzących ściśle w zakres programu podróży, popłynęliśmy dalej.

Otóż mamy i Wielonę, połowę drogi między Kownem i Prusami, miejscowość niegdyś jedną z głośniejszych w dziejach Litwy. Na górze bieli się zdaleka duży kościół, fundowany przez jednego z Radziwiłłów, w połowie XVII wieku. Przedtem jednak istniał zbudowany na początku XV wieku przez Krzyżaków, panujących wówczas na Żmudzi, kościółek gotycki, z którego stworzono prezbiteryum dzisiejszego kościoła, nie zachowując w budowie jego głównych naw, harmonii stylowej. Pierwotna Wielona miała być jeszcze osadą skandynawską. Później Witenes, na początku XIII wieku, miał tu zbudować twierdzę drewnianą na górze, gdzie znajdował się gaj poświęcony bogini Wielonie. Gaj ten święty musiał być zapewne nie tam, gdzie założono zamek, ale na górze przyległej, gdzie stoi dziś kościół. Kościoły bowiem litewskie w wieku XV i XVI zakładano tu przeważnie w miejscach, gdzie stały drzewa czczone przez pogan. Mówimy tu dlatego o gajach i drzewach, uważanych przez pogan za święte, a nie o ich świątyniach, że nauka posiada dotąd tylko wskazówki i dowody o istnieniu drzew i gajów poświęconych bóstwom litewskim, ale o istnieniu świątyń pogańskich, podobnych, jakie mieli Słowianie nadbałtyccy, nie posiadamy żadnych dowodów.

Zamek Witenesowy stał się kluczem do posiadania ziemi Żmudzkiej. To też przywódca rycerzy niemieckich, Henryk bawarski, założył w pobliżu Wielony twierdzę Bajerburg. Gedymin, dziad Władysława Jagiełły, przy oblężeniu Wielony, bronionej przez Krzyżaków, poległ. Gdzie ciało jego zostało pochowane, jest dotąd zagadką, bo jedna mogiła Gedymina znajduje się pod Wilnem, a drugą pokazuje lud na górze zamkowej w Wielonie. Oczywiście, każdy mieszkaniec Wielony woli, żeby ziemia jego rodzinna, a nie wileńska, miała zaszczyt pokrywania zwłok bohaterskiego władcy, tak samo, jak każdy wileńczyk pragnie mieć Giedymina w mogile wileńskiej. Naszem zdaniem, zwłoki Giedymina spoczywać muszą pod Wilnem. Wielona bowiem była w XIV wieku często wydzierana sobie wzajemnie przez Zakon i Litwę, a więc na takiem pograniczu nie pogrzebanoby władcy kraju, tembardziej, że poganie, wierząc silnie w życie dusz zagrobowe, musieli pragnąć, spokoju dla ducha i mogiły gedyminowej. W r. 1398 Krzyżacy zbudowali w Wielonie twierdzę, którą nazwali Friedeburg i założyli tu w r. 1400 jakby stolicę Żmudzi. Odzyskanie tej krainy dla Litwy uważali już sami władcy litewscy za niemożliwe, gdyby nie nadzieje w sojuszu z Polską, która posiadała rycerstwo najwaleczniejsze w Europie. W latach 1416, 1418 i 1423 odbywały się w Wielonie zjazdy i układy wielkich mistrzów Zakonu z Jagiełłą i Witoldem.

Góra zamkowa, położona w sąsiedztwie kościelnej, włączona dziś jest do ogrodu dworskiego państwa Zaleskich, właścicieli dóbr Wielona. Śladu murów niema na niej żadnych, bo niewątpliwie zamek tutejszy, jak prawie wszystkie ówczesne, był drewniany. Wśród ogrodu, o paręset kroków od grodziska, znajduje

się w pięknem położeniu dwór wieloński, w którym wychowywał się i przemieszkiwał w młodości, znany z podróży i prac swoich w Indyach wschodnich, korespondent Kroniki Rodzinnej, a dygnitarz stolicy apostolskiej, ksiądz Zaleski Los dziwnie nieraz rzuca ludźmi. Oto np. z dwóch gniazd: Igłowa i Wielony, tylko Niemnem przedzielonych, zabłąkały się litewskie dzieci na kraje świata azyatyckiego, aby pracować dla dobra ludzkości, gdzieś nad Amurem i nad Gangesem.

Kościół w Wielonie znaleźliśmy świeżo odnowiony, na cmentarzu eliptycznym (jak dawne słowiańskie grodziska), porządnie murem obwiedzionym, z plebanią księdza Tumasa, obszerną i schludną. Była to niedziela i właśnie gdy przybyłem do świątyni, wychodził na ambonę dziekan z kazaniem. A że po litewsku umiem mało i z kazania niewiele rozumiałem, użyłem więc godziny całej, przez którą ono trwało, na przypatrywanie się rysom kobiet, mężczyzn i dzieci, i cechom antropologicznym ich oczu, włosów, wzrostu i t. d. I cóż na to powiecie? Cały wygląd tego ludu tak się mało różni od Mazurów z nad Narwi, że gdyby nie kazanie mówione po litewsku, to mógłbym przysiądz, że znajduję się w kościele gdzieś w małem miasteczku, albo na wsi w okolicach Łomży lub Pułtuska. Przyglądałem się drobiazgowo wszystkim szczegółom rysów twarzy przynajmniej u dwustu osób i każda twarz studyowana utwierdzała mię w mojem spostrzeżeniu. Gdyby nawet kroniki średniowieczne nie opisywały, jak Litwa przez dwa wieki wyludniała Mazowsze i ziemię Dobrzyńską ciągłem uprowadzaniem tłumów polskiego, rolniczego ludu do swoich puszcz nadniemeńskich, gdyby nawet wielki poeta w swoich »Trzech Budrysach« nie naszkicował plastycznie głównej charakterystyki ówczesnych stosunków między dwoma narodami z nad Niemna i Wisły, to, sama uderzająca w każdej twarzy tożsamość typów, musiałaby doprowadzić do wniosku, że było jakieś ogólne zmieszanie się krwi, które wytworzyło typ jednolity obu ludów.

Przed samym zachodem słońca przybyliśmy do wsi kościelnej, noszącej nazwę Błogosławieństwo, a będącej własnością pana Strumiłły, jednego z bardziej przedsiębiorczych ziemian litewskich. Właściciel przebywał w innym majątku, więc udałem się pod opiekę uprzejmego administratora w Błogosławieństwie, pana Balukiewicza. Ten oprowadzał mnie po gospodarstwie i malowniczym parku, położonym na stokach wyżyny; pokazywał bardzo ładne konie i bydło; objaśniał o miejscowych stosunkach rolniczych, ekonomicznych i o wielkich serwitutach włościan, obarczających dobra przez niego administrowane. Dowiedziałem się od pana Balukiewicza, iż okolica tutejsza służy niekiedy za miejsce zsyłki dla rodzin sekciarskich, ze środkowych gubernii cesarstwa. Takich rodzin znajduje się obecnie kilka w gminie tutejszej. Wszystkie żyją w nędzy, ponieważ nie chcą korzystać z zarobków rolniczych, które z powodu znacznej emigracyi włościan do Ameryki i z braku rąk do pracy, są tu dość wysokie. Pan Balukiewicz namówił syna jednej z tych rodzin, aby przyjął u niego dość lekki obowiązek furmana. Cała jednak służba tego młodzieńca trwała zaledwie miesiąc, bo słysząc ciągłe ubolewania rodziców, że dziecko ich musi pracować, porzucił wprędce swój obowiązek i wolał z rodzicami przymierać z głodu, byle próżnować.

Jakkolwiek nie byłem nigdy ani gastronomem, ani łakomym, ale przyznaję się, że wśród opowiadań p. Balukiewicza, nader mile i dźwięcznie uderzyły o moje uszy, w drugim pokoju wymówione przez panią Balukiewiczową wyrazy: »A czy kurczęta już na rożnie?« Przy kurczętach, które były wybornie upieczone, toczyła się rozmowa o języku litewskim. Pan Balukiewicz urodzony w powiecie Trockim, mieszkał tam długo w codziennem zetknięciu się z ludem wiejskim, znał więc gruntownie język litewski w p. Trockim, a zamieszkawszy od lat kilku w Błogosławieństwie, poznał go również dobrze i w okolicy tutejszej. Otóż p. Balukiewicz znajdował dość znaczną różnicę w języku ludowym dwóch powyższych okolic. Dom np. w powiecie Trockim zowie się *namas,* a w okolicy Błogosławieństwa *butas.* Pług w p. Trockim *arktas,* a tutaj *żagria;* deska w Trockim *łunta,* tu zaś *lanta;* dach w Trockim *danktis,* tu *stogas;* ręka w Trockim *runka,* tutaj *ranka* i t. d. Język litewski w okolicy Błogosławieństwa nosi na sobie piętno sąsiedzwa niemieckiego, od czego znowu jest wolnym lud trocki. Np. izba zowie się w pow. Trockim *grtncza,* a tutaj *stuba.* Także w wielu razach używana nad Wilią litera ł, zastąpiona została tutaj przez l. Takie wyrazy znane w całej Litwie jak: *greblis* grabie, *łopiata* — łopata, *drabinas* — drabiny, *aszis* — oś, *reszetis* — rzeszoto i t. p. dowodzą, że rolnictwo przyszło na Litwę od Słowian.

Z rolnictwem przyszły i zwyczaje rolnicze z nad Wisły nad Niemen, takie np. jak dożynki, które odbywają się tutaj w podobny sposób jak na Mazowszu. Oto w kancelaryi p. Strumiłły widzimy na ścianie wiszący wieniec dożynkowy, upleciony z kłosów żyta i pszenicy, przewijanych świecidełkami, przyniesiony mu przez żniwiarzy w roku zeszłym i przechowany od tamtej pory we dworze aż do nowego, który mu w tym roku w ostatnim dniu żniwa przyniosą, śpiewając pieśni dożynkowe.

Z Błogosławieństwa robiliśmy wycieczkę do Raudania (inaczej zwanego Rawdaniem lub Rawdanianami), gdzie jak powiadają kronikarze, Krzyżacy dla wzmocnienia swego panowania na prawym brzegu Niemna w ziemi Żmudzkiej zbudowali warowny zamek na górze. Oczywiście nie był to zamek dzisiejszy, którego wspaniała wieża, prawdopodobnie w wieku XVI wzniesiona, panuje nad okolicą, a mury przerobione do niepoznania, lubo w stylu archaicznym, stanowią rezydencyę dóbr teraźniejszego właściciela p. E. Fario de Castro. Z Błogosławieństwa wyjechaliśmy drożyną przez bujne i kwieciste łąki dworskie, które ciągną się szerokim pasem przynajmniej ćwierć mili w dolinę Niemna, pomiędzy wyniosłością lewego jej brzegu a rzeką. Łąki nadniemeńskie, pomiędzy Grodnem i Kownem, napotykane tylko na małych przestrzeniach na pochyłości stoków jaru niemnowego, od Kowna, gdzie dolina rzeki staje się szerszą, ciągną się już w wielu miejscach wązkimi pasami, które od Błogosławieństwa stają się znacznie szersze, a wszędzie są bardzo żyzne, jako podlegające większym powodziom.

Gdy zatrzymaliśmy się na piaszczystym brzegu wprost Raudania, okazało się, że łódka przewoźnicza znajduje się na brzegu raudańskim, ale w miejsce przewoźnika wylazła z jakiejś budki baba i na nasze wołania zaczęła tylko coś mówić i gestykulować rękami, lecz szerokość Niemna nie pozwalała zrozumieć co mówiła. Niewiasta tymczasem niewiedzieć co krzyczała i gestykulowała bez

przerwy, a nie brała się do wiosła, jak to nieraz czynią kobiety nad rzeką wychowane. Była bardzo gadatliwa, bo pomimo, że czekaliśmy cierpliwie, krzyczała przynajmniej pół godziny, zwrócona w naszą stronę, zanim z poza konopi wylazł jakiś niemrawy mężczyzna i drugie pół godziny przygotowywał się do wypłynięcia po nas. Nareszcie przybyła maleńka przeciekająca łódka, do której wsiadłszy, cały kwadrans walczyliśmy ze wzburzonym od silnego wiatru Niemnem, zanim wylądowaliśmy pod parkiem raudańskim. Park ten łączy się z lasem, na stokach doliny ciągnącym się. Wprost olbrzymiej, okrągłej, z blankami wieży zamkowej, jest on przecięty w stronę pięknej rzeki i tutaj od stóp wieży najbardziej malowniczy ukazuje się widok. Do wnętrza zamku nie zachodziliśmy, nie przypuszczając, aby znajdowały się w nim jakie pamiątki krajowe. Właściciela zresztą w domu nie było, a jego zastępca, człowiek niemiejscowy, nie umiałby nas objaśnić w rzeczach przeszłości. Gdyby tak spotkać postać w rodzaju klucznika Horeszkowego w starym zamku, to byłaby chwila rozkoszy, o której i napisaćby coś można i zachować miłe wspomnienie na zawsze, ale tacy klucznicy legli już wszyscy w grobie, a kamerdynerów nigdy nie miałem odwagi zapytywać o tradycye miejscowe. Administratorowi pana E. Fario Castro byłem jednak wdzięczny i za to, że gdy poszedł do niego pan Balukiewicz oznajmić o turystach z aparatem fotograficznym, pozwolił nam na odfotografowanie zamku i na przechadzkę po ogrodzie i parku.

Po wygodnym noclegu w Błogosławieństwie, nakarmieni po staropolsku, pomykaliśmy rączymi gniadoszami przez łany bujnego na sążeń żyta i gęstej jak szczotka pszenicy, na zachód, w stronę Giełgudyszek górnych. Ziemie tu są żyzne, lud zamożny, wsie dobrze zabudowane, mało różniące się ogólnym wyglądem od mazowieckich z nad Narwi. Wszędzie spotykamy fizyognomie wieśniaków i wieśniaczek jakby typowe z nad Narwi lub Wisły. Kości tylko policzkowe na twarzach niektórych osobników zdawały się wypuklejsze niż u Mazurów. Widocznie pokrewieństwo dwóch ludów, to jest mieszanie się krwi dwóch odrębnych plemion było i odwieczne i masowe. Nie idzie zatem, żeby odrębne zamiona psychologiczne Lettów nie miały się przejawiać u ich prawnuków, mających krew zmieszaną z krwią lechicką. Oto np. pociąg do towarzyskiego życia w gromadzie, czyli zamieszkiwania w zwartych wioskach, choćby w warunkach najniedogodniejszych, tak wybitny na Mazowszu, daleko słabszym jest w usposobieniu Litwina. Litwin widząc u Niemców korzyści rolnicze, płynące z podziału na oddzielne kolonie, chętnie ponosi znaczne koszta i trudy, aby tylko ogromadzić w jednym kawałku swoje pole i z gromadnej wioski przenieść na kolonię swój dom, gospodarkę całą i ogród. Powie, kto może, iż dużo tu działa wpływ sąsiedztwa pruskiego. Zapewne, ale komasacyę podobną i to bardzo silną, widziałem także na Litwie, oddalonej od pruskiego sąsiedztwa, np. pod Olitą, gdy tymczasem na Mazowszu wioski położone pomiędzy koloniami niemieckiemi, czują wstręt do przeprowadzenia takowej.

Giełgudyszki są dwojakie: *górne* i *dolne,* na lewym brzegu Niemna, na prawym zaś leży Zamek Giełguda w dobrach Pusłowskich Eleonorowo. Były to niegdyś dobra rodziny Eperjeszów, znanej na Litwie jeszcze za czasów saskich, ale gdy

pod koniec XVII wieku przeszły w posiadanie Giełgudów, lud litewski nazwał je Giełgudyszkami i ta ostatnia nazwa już się ustaliła. Giełgudyszki górne należą do pana Szemiota, którego nie zastaliśmy w domu, a o którym dowiedzieliśmy się, że jednogłośnie został w tym roku wybrany na sędziego gminnego przez lud wiejski. Pan Staciński, ekonom, oprowadził nas po obszernym, górzystym ogrodzie, obfitującym w warzywa i rozmaite drzewa owocowe, wśród którego obejrzeliśmy staroświecki dworzec, murowany, z podwójnym dachem i pięknym widokiem z werendy ogrodowej na Niemen. Widok fotograficzny tego dworca został zdjęty od frontu i dziedzińca.

Słońce paliło żarem, ale czasu do stracenia nie było, więc ruszyliśmy dalej na zachód, lewym brzegiem Niemna, do Giełgudyszek dolnych, o trzy ćwierci mili stąd odległych. Po drodze oglądaliśmy na żyznem pastwisku nadniemieńskiem stado bardzo ładnych krów holenderskich p. Szemiota i byliśmy przy dojeniu ich w polu. Towarzysz mój, chcąc odfotografować to bydełko, potrzebował zmienić klisze i w tym celu zamknął się wraz z kliszami w wielkim, czarnym, nie przepuszczającym ani odrobiny światła, worku, gdzie od czasu do czasu ruchy swej czynności uwydatniał. Przypatrywały się temu bardzo ciekawie dojone krowy, a jeszcze ciekawiej ich pasterz. Pies tylko jego szczekał gniewnie i w pauzach swego szczekania usuwał się wielce niedowierzająco, coraz dalej, od czarnego, ruszającego się worka.

Jadąc dalej, zauważyliśmy w pewnej odległości od naszej drogi wzgórza piaszczyste, na których prawdopodobnie udałoby się wyszukać ślady pobytu człowieka, w czasach starożytnego użytku krzemienia. Minęliśmy odosobnioną chatkę, przy której wieśniak ogradzał płotem z łoziny mały ogródek. Wieśniak nie różnił się wyglądem i ubiorem od Mazura, a płot jego nie przedstawiał żadnej różnicy od płotów mazowieckich i podlaskich, plecionych jakby w bardzo szeroki warkocz na kołkach. Już pod samemi prawie Giełgudyszkami dolnemi, stało przy drodze duże, widocznie do dworu należące, drewniane, bardzo stare domisko, niezamieszkiwane przez ludzi, a będące we wszystkich najdrobniejszych szczegółach swojej budowy, taką typową karczmą mazowiecką, lub »czworakiem« folwarcznym, z nad Narwi, lub Wisły, że obejrzawszy tę, może parowiekową i rozwalającą się już ruderę, uwieczniliśmy ją za pomocą sztuki fotograficznej.

Giełgudyszki przed stu laty, za rządów pruskich, przeszły na własność niemieckiej rodziny, baronów Keidlów. Zaprowadzono tu wówczas wzorowe gospodarstwo rolne, na dwudziestu folwarkach, składających te dobra i leśne, na 300-tu włókach lasu. Powstała także sławna fabryka serów »keidlowskich«, ciesząca się długo największem w kraju powodzeniem, a gdy później nabrały równego rozgłosu inne fabryki serów krajowych (np. ronikierowskie, brochockie), to w Giełgudyszkach rozwinięto znowu największą z prywatnych hodowlę koni. Około roku 1894 Keidlowie sprzedali dobra Giełgudyszki spółce ziemian litewskich za cenę bardzo nizką, bo przenosząca o niewiele po rubli tysiąc włókę. Byłby to istotnie złoty dla nowonabywców interes, gdyby nie serwituty włościan i brak jednomyślności w działaniu wspólników, skutkiem czego sprzedali to złote jabłko z niewielką korzyścią swoją, pani Komarowej, obecnej właścicielce.

Nieco podobny jak w Giełgudyszkach górnych, tylko obszerniejszy i w ładniejszem położeniu, a za to mniej typowy, znajduje się w Giełgudyszkach dolnych dworzec z XVIII-go wieku, murowany, obszerny, na suterenach. Ogród na stokach jaru niemnowego, szumiący starymi, wyniosłymi jak sosny dębami, łączy się z pięknym, leśnym parkiem, w którym poprzecinane są w gwiazdę drogi spacerowe. Mury gospodarskie, spichrze i dziedzińce odpowiadają swym ogromem wielkości dóbr, które po ordynacyi Zamoyskich należą w kraju do kilkunastu największych. Uprzejma administracya dała nam dzielne konie, elegancki wehikuł i pana buchaltera, żeby nam »cyceronował« na prawym brzegu Niemna, gdzie pragnęliśmy zwiedzić »Giełgudowy Zamek« i podążyć tam do przystani zwanej »Borek«, aby wsiąść na parowiec podążający na noc do Jurborga.

Przejechawszy przez park i koło pola bielejącego się bujnym, kwitnącym grochem, wyjechaliśmy na szeroką nizinę niemnową, tak samo jak pod Błogosławieństwem bogatą w żyzne łąki, przez które unoszeni drogą dzielnymi biegunami, stanęliśmy lotem błyskawicy u przewozu naprzeciwko Eleonorowa. Prom w kształcie łodzi, na której ściętych poprzecznie obu końcach znajdowały się na zawiasach burty spuszczane, ułatwiające wjazd i zjazd, był tak mały, że zaledwie pomieścił parę wielkich koni z wehikułem i z nami. Ale za to dwóch przewoźników przy pomocy długich wioseł, któremi w wielu miejscach do żwirowego dna rzeki sięgali, przewiozło nas dość szybko przez Niemen, który w tej miejscowości niewiele ustępuje szerokością Wiśle pod Warszawą. Z Eleonorowa jechaliśmy ponad Niemnem piękną drogą wysadzaną drzewami, wzdłuż podnóża stoków prawego wybrzeża, pokrytych malowniczo liściastą gęstwiną leśną. Droga ta poprowadziła nas potem na górę, gdzie najprzód ukazały nam się mury pogorzałego folwarku i za rzeczką płynącą bystro parowem, na którym musiał istnieć kiedyś most zwodzony, a dziś sterczały resztki załamego, ujrzeliśmy kilkopiętrowe ruiny, niegdyś potężnego zamczyska Giełgudowego. Oczywiście zamek ten starszym jest, niż było władanie Giełgudów w tych dobrach. Musiał być jednak przebudowany przez któregoś Giełguda, skoro ustaliła się przy nim nazwa tego rodu. Dziś składa się z trzech wielkich połaci, klamrę otwartą ku północy tworzących, której najdłuższa, środkowa część zwróconą jest na południe i dolinę Niemna, i w tej mieszkają jeszcze jacyś ludzie. Bok południowy, widocznie niedawno jeszcze zamieszkały, przedstawia dziś zupełną ruinę, zachodni zaś przerobiony został na spichrze zbożowe, co było o tyle dobrą myślą, że przynajmniej nad spichrzem musi być dach naprawiony, ratujący mury od zagłady.

Zamek posiadał cztery baszty na rogach i końcach wielkiego gmachu. Dwie baszty zachodnie są jeszcze w dobrym stanie, okrągłe jak raudańska, ale nieozdobne wysokością jednak wspaniałe, z dachami ostrokręgowymi, na których obie iglice nasadzono koła dla bocianów, które porobiły sobie wspaniałe na nich gniazda i kiedy właśnie fotografowaliśmy obie baszty, na każdem gnieździe stał bocian zadumany na jednej nodze. Były to jedyne zresztą żywe istoty, które spotkaliśmy w tym zamku. Wszędzie porastały chwasty i wiała pustka grobu. Choć widocznie mieszkają tu jeszcze jacyś ludzie, ale nigdzie śladów ich pracy, życia, ich życzliwego pozdrowienia, uśmiechu, opowiadań tradycyi, nawet najpospolitszego ich

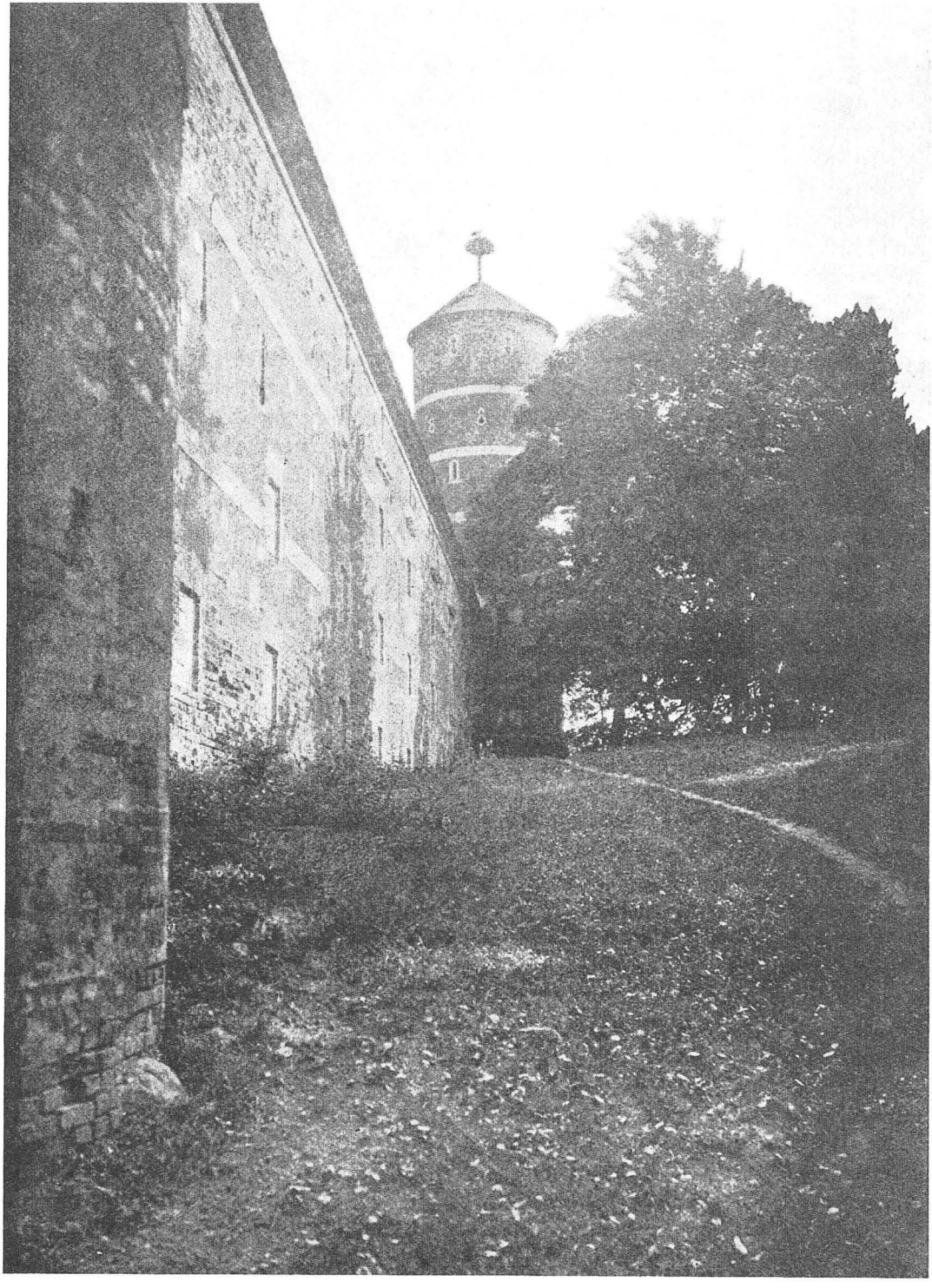

Zamek giełgudowski.

zaciekawienia. A jednak ileż tu pomyślnych warunków bytu istnieje dla każdego rozumnego, pracowitego i skrzętnego mieszkańca kraju. Gleba Rosieńskiego powiatu żyzna, komunikacya .Niemnem dobra i dróg pełno, położenie malownicze, powietrze najzdrowsze, zieleni obfitość, mury do zamieszkania ogromne, ruczaj z przezroczystą jak kryształ wodą u stóp zamczyska szemrzący, mógłby nawet łatwo potworzyć idealne kaskady, wodotryski, kąpiele i prysznice, a co najważniejsza hodowle łososiopstrągów (salmonoidei), przytem dwa poblizkie handlowe miasteczka jak Juborg i Rosienie. Jednem słowem jest wszystko dla umiejętnych i pracowitych, a jednak jakaż tu wieje wszędzie straszna pustka, z powodu, że właśnie ludzi takich za mało mamy w społeczeństwie.

Rącze bieguny niosły nas szybko do przystani statków parowych, zwanej Borek, od której droga bita stanowi najkrótszą komunikacyę pomiędzy Niemnem i powiatowemi Rosieniami. Jechaliśmy ćwierć mili w gorączkowym niepokoju, czy nie spóźnimy się na statek do Jurborga. I rzeczywiście spóźnilibyśmy się o kwadrans, gdyby nie to, że parostatek, który miał nas zabrać, przywiózł taką ilość towarów z Kowna dla Rosień, a samego piwa bawarskiego z browarów kowieńskich kilkadziesiąt antałków, iż na wyładowanie zmitrężono blizko pół godziny, co uratowało nas od pozostania na noc w Borku.

Dolina Niemna poniżej Giełgudyszek zmienia swój dotychczasowy charakter. Król rzek litewskich wyżłobiwszy sobie jar głęboki i malowniczy w wyżynach ziemi litewskiej i żmudzkiej spływa powoli na płaszczyzny nadbałtyckie. Dolina rzeki się rozszerza, płaskowzgórza obu brzegów obniżają. Na lewym brzegu widać w oddali pagórki i przestrzenie piaszczyste, na których możnaby niewątpliwie znaleźć ślady pobytu mieszkańców tego kraju z doby użytku krzemienia. Sam Jurborg leży na płaszczyźnie z prawej strony. Miał niegdyś zamek przez Krzyżaków zbudowany i był przez nich uważany na równi z Wieloną za klucz i stolicę ich władzy na Żmudzi. Dziś, jako pograniczny, jest pomiędzy Kownem i Tyldą, miasteczkiem największem i najhandlowniejszem, a ruch towarowy pomiędzy Kownem i Jurborgiem jest może główną podstawą bytu ożywionej żeglug i parowej na powyższej przestrzeni.

Kto przybywa Niemnem do Jurborga, spostrzega zdala nie kościół, ukryty za domostwa i drzewa, ale panującą nad dachami miejskimi słynną, starą, drewnianą synagogę. Ponieważ było to jeszcze przed zachodem słońca, więc podążyliśmy niezwłocznie, aby odfotografować ten ciekawy zabytek drewnianego budownictwa z dawnych czasów. Synagogi podobne na Litwie i Rusi miały odrębny swój charakter w ubiegłych wiekach: wysokie, ozdobne, z gankami i podsieniami na słupach wyrzynanych. Dochowało się jeszcze dotąd takich kilkanaście z XVII i XVIII wieku, pomiędzy niemi celniejsze: w Jurborgu, Zabłudowiu, Wołpie, Pohrebyszczach i t. d. Istniały takie bożnice dawniej we wszystkich ludniejszych miasteczkach żydowskich, ale czas i ogień strawił ich setki. Że zaś te, które się dochowały jeszcze, tylko niektóre zostały odfotografowane, byłoby zatem bardzo pożądanem, aby ludzie dobrej woli odrysowali dokładnie lub zdjęli widoki fotograficzne wszystkich, gdziekolwiek znajdują się na Litwie.

Ponieważ jeden z parowców odpływał w górę Niemna przed północą, po-

stanowiliśmy zatem powracając do Kowna, spróbować nocnej żeglugi. Przebiegłszy więc tylko wzdłuż i wszerz dość ludne i względnie dość porządne miasteczko, powróciliśmy do przystani. Brzeg Niemna płaski, nagi, piaszczysty, oświetlony był krwawą łuną od słońca, które tylko co zaszło i srebrzystym księżycem, który przybywał, aby przeglądać się w Niemnie i naszej przyświecać podróży. Ścieżką od przystani do miasteczka snuli się żydzi, tragarze z pakami i służba parostatkowa. Na wybrzeżu stała budka z wodą sodową i piernikami, z której pomiędzy doniczkami kwiatów wyglądała czasem jakaś nieszpetna twarzyczka. Befsztyk na parostatku był przesolony, a wieczór letni gorący, poszedłem więc ku owej budce, aby wodą ugasić pragnienie. Pokazało się jednak, że w owym kiosku, nie większym jak dobra szafa gdańska, oprócz nieszpetnej żydóweczki, gościła jeszcze jej otyła mama, liczne rodzeństwo i jakiś przy złotej dewizce mlokos, prawdopodobnie narzeczony, a skutkiem tego przez okienko do sprzedawania wody i pierników, buchało powietrze różniące się tak potężnie swoim ciężarem gatunkowym od rozkosznej atmosfery nadniemeńskiej, iż zapomniałem, po co do budki przyszedłem i czemprędzej powróciłem na pokład parostatku.

Do kajuty oświetlonej jedną świeczką przybywali podróżni i układali się do snu na wyścielanych kanapach; ponieważ świeca stojąca na stole w środku kajuty, każdemu świeciła w oczy, a obok niej stało czyjeś pudło z kapeluszem, zasłoniłem więc światło od siebie owem pudłem. Ale przyszedł wkrótce inny pasażer i położywszy się naprzeciwko, przestawił pudło w tym samym celu na swoją stronę. Mając umysł obarczony natłokiem myśli, zasnąć nie mogłem, więc przypatrywałem się, jak podróżni kładąc się do snu lub budząc, poirytowani przestawionem światłem przez innych, zrywali się i mrucząc i złorzecząc pod nosem, znowu świecę zastawiali pudłem każdy od siebie.

Księżyc wzbił się do góry i z lazurem litewskiego nieba, zasianym gwiazdami, odbijał w cichej, błękitnej szybie uśpionego Niemna. Cisza nocy była uroczysta, gdy zaczęto się krzątać, wnosić jeszcze paki z towarami, bagaże i wprowadzać na pokład krowy, pędzone na rzeź do Kowna. Znowu powtórzyła się scena z trzodą chlewną, bo kapitan »Herolda« (tak się nazywał wiozący nas parowiec), był starozakonny i nie chciał mniejszej przyjąć zapłaty od świń niż od pasażera pierwszej klasy. Nareszcie koła zaczęły skrzydłami grzmotać wodę, zwierciadło Niemna rozpadło się za nami na dwoje i Herold, syty ładunkiem wszelkiego rodzaju, odważnie, nocą, podążył do Kowna, prując modrą głębinę z księżycem i gwiazdami.

Przy wszystkich przystankach po drodze zatrzymywaliśmy się chwilę, bo wszędzie, pomimo nocy przybywali podróżni, lub towary. W Giełgudyszkach wtoczono kilka beczek serów szwajcarskich z miejscowej fabryki; w Borku, kopę pustych antałków z Rosień; w Wielonie kilkanaście cieląt kupionych na rzeź do Kowna; w Srednikach całą furę wici brzozowych powiązanych w snopki, do spajania płytów czyli tratew. Gdzieś indziej wsiadło kilkudziesięciu orylów pińskich, w łapciach. Pod Igłowem statek stanął na środku Niemna, gdzie podpłynęła od brzegu ku niemu łódź z jakąś przykrytą beczką, w kształcie wysokiej, szerszej u dołu niż u góry fasy, z 4-ma żelaznemi uchami, za które pochwyciwszy ją

czterej drabi, zręcznie wstawili na pokład parowca. Objaśniono mnie, że to codziennie od dziedziczki Igłowa przewozi się w ten sposób kilkadziesiąt garncy mleka do Poniemunia, gdzie u p. Zana jest centry-fuga, przerabiająca to mleko na masło, jakoż istotnie pod Poniemuniem podpłynęła od lądu łódź miejscowa i fasa szybko znikła z pokładu parowca.

Gdy ranna, różowa zorza zapowiedziała cudny poranek w pięknej dolinie Niemna, pokład Herolda przedstawiał widok bardzo rodzajowy. Pokryty bowiem był całkowicie śpiącymi ludźmi, zwierzętami i różnorodnym bagażem. Oryle leżeli pokotem w różnych kierunkach, pomiędzy faskami z masłem, chrapiąc najsmaczniej. Dla kilku za poduszkę służyła leżąca spokojnie krowa. Gęsi zdawały się być zadowolone z towarzystwa biednych, powiązanych niemiłosiernie cieląt. Świnię ulokowano bezlitośnie przy koszu zamkniętym z jarzynami. Na ławkach kiwały się drzemiące, z pootwieranemi ustami żydówki nic do siebie nie mówiąc. co zapewne rzadko im się przytrafiało. Na Niemnie spotykamy mnóstwo płynących już płytów, czyli tratew, a prawie wszystkie złożone z drzewa świerkowego i kierowane przez poleszuków.

Gdy popołudniu minęliśmy ujście Niewiaży pod Czerwonym-dworem i zbliżali się ku Kownu (płynąc od Poniemunia znowu na Perkunasie), wyszedłem na pomost sternika, aby z wynioślejszego miejsca lepiej przypatrzyć się malowniczym wyżynom Aleksoty. Tu wdawszy się w rozmowę z kierownikiem steru, tak zwanym »matrosem« nie bez podziwu spostrzegłem, że miał na obu rękach wytatuowane wielkie litery początkowe imion: Najświętszej Maryi Panny i Chrystusa wraz z godłami wiary, miłości i nadziei. Wówczas prosiłem go o wyjaśnienie przyczyny tego niezwykłego na skórze ludzkiej piętna, na co mi odpowiedział temi słowy: »Szukając po świecie chleba, zgodziłem się w Rydze na okręt zagraniczny i przez lat czternaście służyłem na morzu, a najwięcej w Indyach i Japonii. Zyjąc wśród pogan, albo ludzi bez żadnej religii, chciałem, aby wiedzieli oni, żem prawy katolik, gotowy umrzeć za swą wiarę i że mojej wiary nigdy się nie zaprę, a w razie śmierci żeby wiedzieli jak i kogo chowają«. To mówiąc, rozpiął koszulę i pokazał mi wytatuowany na piersiach krzyż ogromny, a ja przyglądałem się tym sinym wyrazistym konturom wielkich godeł i wsłuchując się w spokojne, żelaznej siły słowa, nie spostrzegłem się, gdy dłoń moja gorączkowo ściskała grubą, czarną, spracowaną dłoń żmudzkiego żeglarza.

Dalej opowiadał mi, jak się nauczył tatuować. Ze do tego brał 5 albo 6 cienkich igieł związanych w pęczek i nakalał niemi silnie skórę podług narysowanych na niej linii, a potem napuszczał tuszem chińskim, który wsiąkając, dozgonną siność w skórze pozostawia. Po latach kilkunastu, Gustaw Gużewicz, dziecko żmudzkiego i szlacheckiego zaścianku, zatęsknił do ziemi rodzinnej i powrócił z Oceanu Spokojnego nad Niemen, aby położyć kości swoje w świętej ziemi rodzinnej. A tymczasem dla chleba sterował na Perkunasie.